

Silckenville



MONIKA SZOSTEK

Monika Szostek

Silckenville

Dwa opowiadania na Halloween

Copyright © 2015 Monica Szostek
All rights reserved.
ISBN-13: 978-1517797362

Silckenville

Hipnoza (grec. ύπνος = ýpnos, dosłownie sen) – definiowana jest jako stan prawidłowo funkcjonującego umysłu, w którym uwaga danej osoby jest mocno zogniskowana na określonych bodźcach, świadomość bodźców pochodzących spoza obszaru zogniskowania uwagi jest znacznie ograniczona, oraz podczas którego krytyczny osąd danej osoby zostaje częściowo zawieszony.

(Wikipedia)

Silckenville, 27 czerwca 1999r., USA

William Lane przyjechał do Silckenville w pochmurny dzień o godzinie 10.00 rano, po nocy spędzonej w motelu oddalonym o około 20 km od niewielkiego miasteczka.

Wyglądało ono gorzej niż się spodziewał. Niemal wszystkie domy miały powybijane okna, po zapiaszczonych ulicach wały się śmieci. Wiatr potrząsał smętnie szyldem sklepowym. Płoty i poręcze były połamane, ogródki zapuszczone. Lane jechał powoli, notując w pamięci każdy szczegół - od katastrofalnego stanu posesji, po porzucony na ulicy, przewrócony wózek. Szóstym dziennikarskim zmysłem czuł, że sukces w tej dziedzinie odnosi się przede wszystkim poprzez wnikliwą obserwację - i to się sprawdzało. William Lane był bardzo dobrym dziennikarzem, pnącym się coraz wyżej po szczeblach kariery. Do kolejnego awansu potrzebne mu było coś wyjątkowego, jakiś niesamowity temat, sensacja.

O Silckenville było głośno już na początku lat 80-tych. Całym krajem wstrząsnęła wtedy wieść, że 21 października 1981 roku w niewielkim Silckenville zginęło w niewyjaśnionych okolicznościach 17 osób, a prawie drugie tyle popełniło samobójstwo.

Zarówno zbrodnie, jak i akty targnięcia się na własne życie były jednymi z najokrutniejszych w historii. To, co znalazła wtedy policja, można było określić tylko jednym słowem: rzeź. Ofiary zabójstw znaleziono poćwiartowane, częściowo spalone i ułożone, czy wręcz *wymodelowane* w taki sposób, że - paradoksalnie - stanowiły makabryczne dzieła sztuki. Poskręcane, powyginane i pocięte ciała mogłyby stanowić wystawę w upiornej galerii. Sekcje tego, co zostało ze zwłok wykazały, że większość „rzeźbienia” odbywała się jeszcze wtedy, gdy ofiary żyły.

Wśród zabitych była trójka starszych ludzi, pięciu mężczyzn w wieku 26 - 45 lat, sześć kobiet mniej więcej w tym samym przedziale wiekowym i troje dzieci. Policja nie potrafiła ustalić ilości sprawców: metody i wszystko inne dotyczące tych okropieństw były identyczne, co wskazywałoby na jednego człowieka, ale - jak wykazało śledztwo - każda z tych osób była widziana rankiem 21 października lub - najpóźniej - poprzedniego wieczoru. Czternaście z nich znaleziono tego samego dnia. Dalszą dwójkę -

młode małżeństwo - odkryto dzień później. Ostatnia została odnaleziona samotnie mieszkająca starsza kobieta - dopiero 24 października jej resztki odkrył listonosz. Sąsiedzi myśleli, że wyjechała do córki, miała bowiem taki zamiar od dłuższego czasu.

Niemożliwe więc wydawałoby się tu działanie jednego człowieka, bo „rozprawienie” się z jedną tylko osobą musiało zająć mu co najmniej trzy, może cztery godziny. Bardziej prawdopodobne byłoby działanie całej grupy szaleńców, może sekty.

Rozumowaniu temu przeczyłoby jednak to, że żaden z ciekawskich mieszkańców małego miasteczka nie zauważył nikogo obcego, nie mówiąc już o całej grupie osób. Znamienne było także, że nikt nie słyszał ani krzyków, ani żadnych innych podejrzanych odgłosów. Na miejscach zbrodni nie znaleziono żadnych odcisków palców.

Tego samego dnia, tj. 21 października 1981 roku, w Silckenville odebrało sobie życie trzynastu ludzi. Każdy z nich, niezależnie od wieku - używając określenia jednego z agentów FBI zajmującego się to sprawą – „wypruł sobie flaki”. Sześć spośród tych osób nakreśliło swoją śmierć na wideo.

Po krwawym październiku Silckenville opuściła część mieszkańców - większość rodzin i przyjaciół zmarłych. Po kilku miesiącach życie w miasteczku powoli zaczęło wracać do normy.

Lane, mając wciąż przed oczami zdjęcia ówczesnych ofiar, starał się nie przyciskać pedału gazu. Dobrze się przygotował do tej wizyty i wiedział, że przy ulicy, na której teraz się znajdował, w 1981 odkryto większość, bo aż dziewięć spośród ofiar zbrodni i dwóch samobójców. Razem jedenaście osób z trzydziestu, które nie wiadomo dlaczego i jak straciło życie - policja nie odkryła żadnych sensownych motywów tych wydarzeń, mimo szczegółowych analiz wszystkiego, co miało związek ze zmarłymi.

Lane skręcił w prawo. Tutejsza Baker Street. Patrzył na numery: 17, 18, 19. Jest. Dwudziesty.

Lane zwolnił, aby lepiej przyjrzeć się niepozornemu domkowi, z wolna popadającemu w ruinę, zięjącemu pustymi otworami okiennymi. Obdarte, na pół oderwane okiennice i zielone drzwi, z których zlaźła farba, wiszące na jednym tylko zawiasie, chwiały się lekko na wietrze. Wokół nie było żywej duszy.

Rok 1991. Dziesięć lat po „krwawym październiku”. Zmasakrowane zwłoki większości ofiar spoczywają na cmentarzu w Silckenville, trzy osoby zostały pochowane gdzie indziej. Życie w małym miasteczku toczy się spokojnie... aż do 12 kwietnia 1991 roku. Właśnie tu, w tym niepozornym białym domu rozpoczęła się kolejna seria śmierci.

Allanowie sprowadzili się do Silckenville pięć lat wcześniej, dokładnie w styczniu 1986. 12 kwietnia '91 małżeństwo z trójką dzieci zostali zaszlachtowani, ich ciała połamano, pocięto, częściowo obdarto ze skóry i spalono, tworząc z nich konstrukcję wyobrażającą kwiaty, przytrzymywaną przez liny, stalowe pręty i klej. Ciała stanowiły tak zwarty zlepek, że nie można było odróżnić, do kogo należały poszczególne ich części. Na miejscu znaleziono te same odciski palców, co dziesięć lat temu.

Silckenville wstrząsnęło to wydarzenie, w pamięci odżyły wciąż jeszcze świeże wydarzenia „krwawego października”, ale paniki nie było. Sprawca działać miał jednorazowo i chociaż zapanowało przerażenie, a ludzie zaczęli zamykać się w domach szczelniej niż kiedykolwiek przedtem, jeszcze nie uciekali.

17 kwietnia w okrutny sposób zginęło pięć osób - kolejna rodzina. Trzy dni później została zabita następna ofiara: szesnastoletni chłopak, wracający do domu o zmroku. Mimo całonocnych poszukiwań odkryto go dopiero rano na wierzchołku drzewa koło jego domu, przywiązanego do gałęzi za ręce i nogi, nagiego, z wylupionymi oczami, które zastąpiono czarnymi kulkami. Miał zdeformowane uszy i wybite wszystkie zęby - poza przednimi kłami. Jak nietoperz.

W ciągu czterech następnych dni wszyscy mieszkańcy Silckenville, którzy mieli dokąd się udać, po spakowaniu podręcznych toreb, opuścili miejscowość. Część miała zamiar przeczekać falę morderstw i wrócić do domów, gdy tylko psychopatyczny morderca zostanie złapany.

29 kwietnia zniknęła 23-letnia Laura Borkovic. Dwa dni później znaleziono ją w pobliskim lesie. Jej nagie ciało rozpięte było między dwoma drzewami. Dolną część tułowia miała nadpaloną, nogi zespolone razem, stopy zniekształcone i zbite w jedną masę, przy silniejszym wietrze kołysały się kilkanaście centymetrów nad ziemią. W czaszkę po obu stronach czoła wbito dwa

cienkie pręty, wyobrażające czółka, zaś u rąk zawieszono delikatną, przezroczystą tkaninę o subtelnym, kolorowym wzorze, upiętą na kształt motyli skrzydeł. Głowę podwiązaną miała za pomocą grubej żyłki w taki sposób, by skierowana była w górę, ku niebu.

5 maja w Silckenville popełniło samobójstwo sześciu ludzi - w tym narzeczony Laury. Zadali sobie śmierć rozpruwając swe własne ciała ostrymi narzędziami i okaleczając się (w czterech przypadkach ich twarzy nie dało się zidentyfikować). Pięć z tych osób nakręciło swoją śmierć na wideo.

10 maja w Silckenville znajdowało się 52 mieszkańców, którzy nie zgodzili się opuścić swoich domów, kordony policji i kilku dziennikarzy, którym władze stanowe udzieliły specjalnych pozwoleń na pobyt w granicach miasteczka.

Trzy tygodnie na przełomie kwietnia i maja 1991 roku pochłonęły 18 ofiar. Policja była bezradna. Zawiodły wszelkie środki ostrożności. Nie udało się odnaleźć żadnych śladów sprawcy poza odciskiem buta – był to ten sam rodzaj buta, ten sam odcisk podeszwy. Sprawą zajmowali się najlepsi fachowcy z całego kraju, wydano setki opinii i portretów psychologicznych szaleńca, założono bowiem w końcu, że jest to dzieło jednego człowieka. Niepojęty jednak był sposób jego działania, był cieniem. Jakby nie istniał.

Już w latach 80-tych pojawiło się wiele teorii na temat Silckenville, z UFO i początkiem Apokalipsy włącznie. Oskarżano kosmitów, rząd, duchy, wariatów, którzy mają zdolność teleportacji lub potrafią przenosić się w czasie, a nawet całą społeczność Silckenville, jako szalonych, zboczonych degeneratów dokonujących samosądów. Dla człowieka z zewnątrz każda z tych ewentualności mogłaby być równie prawdziwa. Lane nie wierzył w żadną z nich. Może w całym tym szaleństwie były najbardziej skłonny zaaprobować tą ostatnią... gdyby nie rozmawiał z tamtymi ludźmi.

Na początku lat 90-tych Lane stawał się powoli uznanym dziennikarzem, choć jeszcze w wąskich kręgach. Sprawa Silckenville przyniosła mu rozgłos, właśnie dzięki serii wstrząsających wywiadów z mieszkańcami. Lane był człowiekiem przenikliwym, potrafił przejrzeć na wylot większość ludzi, z którymi rozmawiał. Czuł, jeśli ktoś kłamał. Te relacje były prawdziwe, a

ładunek strachu w każdej z nich chwilami był wręcz nie do zniesienia. Relacje jego rozmówców sprawiały, że miał ochotę ciągle oglądać się za siebie.

Lane'owi nie chodziło jednak tylko o rozgłos. We wszystkich tych okrucieństwach w Silckenville było coś, co go fascynowało i przerażało jednocześnie. Poza tym czuł, jakby w zagadce okrutnych zbrodni kryło się coś, jakiś element, który wszyscy przeoczyli, ale znajdujący się gdzieś blisko, pod ręką, wystarczyłoby sięgnąć w odpowiednie miejsce...

Przemierzając powoli okolicę, William Lane ciągle obserwował wszystko. Znał na pamięć rozkład ulic w Silckenville i wybrał jak najdłuższą drogę do swego celu, by na własne oczy ujrzeć miejsca straszliwych wydarzeń.

Gdy druga seria morderstw przeminęła, do Silckenville wróciła zaledwie garstka ludzi - część po to, by do końca się spakować. Miało to miejsce na początku 1992 roku. Gdy wyjazd z miasteczka na dwa dni uniemożliwiła burza śnieżna, wybuchła panika. Jedna osoba w Silckenville popełniła samobójstwo, strzelając sobie w głowę. Nie miało to bezpośredniego związku z wcześniejszymi wydarzeniami.

Poza tym nikt nie zginął. W marcu 1992 Silckenville liczyło sobie około stu mieszkańców. Trzy lata później miasteczko wymarło. Ostatnimi byli tu Albert Norton i jego syn, Nicholas. Albert Norton, wtedy sześćdziesięcioletni, niegdyś sklepikarz, postradał zmysły w roku 1981, gdy w pierwszej fali mordów stracił żonę. To on znalazł jej ciało - pomiędzy, powyginane niczym plastelina, kształtem wyobrażające ptaka zrywającego się do lotu. Nicholas, wówczas dwunastolatek, przeniósł się do ciotki, na drugi koniec stanu. Pan Norton nie pozwolił, aby syn zabrał go do siebie, z dala od żony leżącej na cmentarzu w Silckenville. Dopóki w mieście ktoś mieszkał, dopóty miał opiekę. W końcu opieki zabrakło i Nicholas przyjechał po ojca, u którego zatrzymał się w nocy z 2 na 3 lipca 1996 roku. Kilka dni później, dokładnie 6 lipca na skutek interwencji pani Barrow, ciotki Nicholasa, policja udała się do Silckenville, gdzie znaleziono obu Nortonów, wiszących u dachu werandy za związane razem ręce i nogi, nagich, z czarnymi kulkami zamiast oczu, spalonymi genitaliami i wybitymi zębami - wszystkimi prócz górnych kłów. Śledztwo, które nigdy nie zostało zamknięte, rozgorzało na nowo i trwało przez następne 3 lata. Nie

wykazało niczego nowego... aż do teraz.

Od śmierci Nortonów sprawę Silckenville badały kolejne zastępy najlepszych profesjonalistów, żaden z nich nie odkrył jednak niczego ponad wcześniej ustalone fakty i nowe pytania. Obawiano się kolejnych morderstw w innych miastach, w najczarniejszych scenariuszach przewidywano prześladowania byłych mieszkańców Silckenville, którym - w miarę możliwości - starano się zapewnić ochronę. Na razie nic się nie działo.

Na początku maja do Silckenville przybyła ostatnia „grupa operacyjna”, jak ją nazywano, pod kierownictwem Jeremy'ego Lentza. Lane go znał i wiedział, że jeśli Lentz nie rozwiąże tej sprawy, nikt już tego nie dokona.

Jeremy Lentz był znany w swoich kręgach, niekoniecznie od najlepszej strony. Zbyt często przeszkadzał swoim szefom, przez co parę lat temu został wysłany na przymusową wcześniejszą emeryturę. W całej swej karierze nie rozwiązał tylko jednej sprawy - ktoś go w tym ubiegł. Swe sukcesy w odnajdywaniu przestępców zawdzięczał uporowi, przenikliwości i darowi przewidywania pewnych sytuacji. Nie to jednak było jego głównymi atutami. Niektórzy twierdzili, że Lentz potrafi rozumować jak psychopata, złośliwi skłonni byli posunąć się nawet dalej twierdząc, że nim jest. Jakkolwiek by nie było, praca Lentza zawsze przynosiła efekty.

Jeremy Lentz miał ogorzałą, raczej przeciętną twarz z której wyróżniały się tylko zimne, szare oczy. Gdy tego chciał - potrafił zbić z tropu jednym tylko spojrzeniem. Lane przypomniał sobie jego masywną sylwetkę i mimowolnie wstrząsnął. Lentz nie był kimś, kogo chciałoby się spotkać sam na sam w miejscu takim jak Silckenville.

Teraz jednak wezwano go jako ostatnie koło ratunkowe. Lentz nie kazał długo się prosić. Silckenville fascynowało go już od dawna. Wierzył, że jest w stanie rzucić nowe światło na całą sprawę, podobnie jak wierzyły w to władze; teraz jednak wyglądało na to, że dobra passa Lentza się kończy.

Od początku maja prawie do końca czerwca nie odkrył niczego, co mogłoby pomóc w rozwikłaniu tajemnicy. Gotów był niemal zrezygnować, gdy jakiś tydzień temu stało się coś, co podobno miało przybliżyć go do rozwiązania zagadki. Nie ujawniono prasie żadnych szczegółów, nawet najdrobniejsza

informacja nie dotarła do gazet, jednak Lane miał swoje źródła i wiedział, że coś się szykuje. To był główny powód, dla którego Lane uruchomił wszystkie możliwe znajomości, z Lentzem włącznie, by dostać pozwolenie na pobyt w Silckenville - od 1996 był to bowiem teren zamknięty, chroniony jako miejsce zbrodni. Obudowano całe miasteczko grubym murem zakończonym drutem kolczastym; strzeżone było bez przerwy. Dzięki temu większość opinii publicznej przychyliła się do teorii, że za wydarzenia w Silckenville odpowiedzialny jest rząd.

Lane wiedział, że to nieprawda. Gdyby tak było, władzom nie zależałoby tak bardzo na rozwiązaniu tej sprawy. Po prostu zamknięto by teren i usunięto by wszystkich niewygodnych świadków.

Obecność Jeremy'ego Lentza dodatkowo przeczyła tej teorii. Lentz miał posłużyć do odgadywania, nie do maskowania czegokolwiek.

Lane skończył już swój objazd. Zmierzał teraz do dawnego posterunku policji, gdzie ekipa Lentza miała swoją kwaterę. Nadal jechał powoli; częściowo ze względu na swój dziennikarski zmysł obserwacji, a częściowo, bo czuł, że jeśli zacznie przyspieszać, najprawdopodobniej przycisnie gaz do końca i wyjedzie z Silckenville szybciej niż strażnicy przy wyjeździe zdążą mrugnąć.

W końcu, po półgodzinnym kluczeniu po uliczkach miasta, znalazł się przed kiedyś białym, dużym budynkiem z zakratowanymi oknami. Zaparkował wóz na parkingu znajdującym się na tyłach budowli i skierował się do głównego wejścia. Po raz pierwszy jego stopa dotknęła ziemi w Silckenville - Lane wstrząsnął się na tę myśl. Po dwóch krótkich dzwoneczkach otworzył mu Lentz, ubrany w granatowy szlafrok i ciepłe bambosze.

-Lane - powiedział Lentz, otwierając drzwi szerzej - Wejdz.

-Witaj, Jeremy. Widzę, że nie jesteś zaskoczony moją wizytą.

-Wiedziałem, że jednak przyjedziesz - Lentz uśmiechnął się lekko. - Kto jak kto, ale ty musiałeś tu przyjechać. Nie przepuściłbyś takiej okazji. - Lentz skinął na Lane'a i poprowadził swego gościa długim, ciemnym korytarzem.

-Byłem bliski tego, by zrezygnować.

-Niech zgadnę... Zanim tu dotarłeś, zdążyłeś zwiedzić co najmniej połowę Silckenville. - Lentz otworzył jakieś drzwi i wprowadził

William Lane'a do dawnego gabinetu komisarza tutejszej policji. Na środku pomieszczenia znajdowało się wielkie biurko zarzucone papierami, pod ścianą stało rozkładane polowe łóżko, koło okna poustawianych zostało niedbale kilka różnych krzeseł. Na parapecie stały puste kubki po kawie.

-Siadaj, Lane. - Lentz wskazał jedno z krzeseł. - Napijesz się czegoś? Jest woda mineralna, herbata, szybko kurczący się zapas kawy i brandy.

-Kawa. Dzięki.

-Ok. Wybacz, ale będziesz musiał chwilę poczekać. Niedawno wstałem, inni pewnie jeszcze śpią. - Lentz przetarł zmęczone oczy. - Siedzieliśmy wczoraj do późna. Pozwól, że się przebiorę, wrócę za jakieś 10 minut.

Lane skinął tylko głową za wychodzącym. Właściwie nie chciał zostawać tu sam, czuł się bardzo nieswojo. Znow nie mógł powstrzymać się od oglądania się za siebie, chociaż starał się zbagatelizować swój lęk. W końcu przystawił krzesło do ściany i siadł w taki sposób, by, będąc blisko drzwi, móc widzieć cały pokój. Za oknem bez firanki rozpościerał się widok na szare, niszczone domy, opuszczone sklepy i zaśmieconą ulicę. Lane wbił wzrok we własne paznokcie.

Kilka minut później do gabinetu wszedł Lentz w towarzystwie trzech mężczyzn i dwóch kobiet. Dziennikarz aż podskoczył na dźwięk otwieranych drzwi. Lentz podszedł do biurka, łokciem odsunął porzucane papiery i postawił dwa kubki.

-Musisz kogoś poznać, Will. To są członkowie mojego zespołu: Sheila McPherson, Katherine Slater, Jake Harris, Christian Rally i David Cane. - powiedział, wskazując poszczególne osoby. Lane wybąkał: „Miło mi”, podając rękę każdemu po kolei.

-To najlepsi specjaliści w swoich dziedzinach, jakich znam. - rzekł Lentz, przysuwając sobie krzesło do biurka i nakazując gestem, by inni zrobili to samo.

-Cieszę się, że jednak nie zrezygnowałeś, Lane. - Lentz kontynuował. - Znasz sprawę Silckenville, niektóre szczegóły może nawet lepiej niż ja - opierając łokcie o blat, nachylił się lekko w stronę swojego rozmówcy; Lane w ostatniej chwili powstrzymał się przed odchyleniem się w tył. - Nie ukrywam, że jest to jeden z powodów, dla których chciałem cię tu widzieć. Potrzebujemy twojej

pomocy.

-Wy - mojej?... - spytał z niedowierzaniem Lane - Myślałem, że jest odwrotnie.

-Ty potrzebujesz materiałów do swoich reportaży, ja twoich informacji. To, co wiemy jest niekompletne, z drugiej ręki. Ty rozmawiałeś z ludźmi, słyszałeś ich bezpośrednie relacje i możesz podać je w sposób obiektywny... Możesz też ocenić to, co słyszałeś. To ważne, Will. – Lentz wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. – Nie proponuję. Wiem, że nie palisz. – powiedział do Lane'a i zapalił. Zaciągnął się głęboko i szybko wypuścił smużkę szarego dymu. - Najpierw jednak poznasz naszą wersję, dowiesz się, do jakich wniosków udało nam się dojść w ostatnich dniach. - Lentz przysunął sobie popielniczkę. - Jake, możesz mnie wyręczyć? - zwrócił się do ciemnowłosego mężczyzny, na oko około trzydziestoletniego, ubranego w czarną, pogniecioną koszulę i sprane dżinsy - Opowiedz Lane'owi o mordercy.

Jake skinął szybko i poprawił się nieco na krześle. Miał ciemne włosy i cienie pod oczami.

-Jesteśmy tu od maja – zaczął. - I od tamtego czasu staliśmy w martwym punkcie. Mieliśmy do dyspozycji setki opinii, miliony pytań, dziesiątki tak zwanych materiałów dowodowych, które dowodziły tylko tego, że niczego nie można dowieść... Znamienne było jedno: wszyscy, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia o Silckenville, używali jednego, wciąż powtarzającego się określenia: szaleństwo. Większość psychologów przychyliła się do zdania, że to wszystko było robotą szaleńca, monstrum z odchyleniami umysłowymi, które pozwalają mu dokonywać morderstw w sposób nie tylko nadzwyczaj okrutny, ale także bardzo sprytny i odważny. Nikt jednak nie wziął pod uwagę tej ewentualności, że morderca z Silckenville nie jest szalony bardziej niż ja czy pan...

-To znaczy: myśli tak samo racjonalnie? - spytał Lane, z powątpiewaniem patrząc na obecnych.

-I myśli racjonalnie, i jest całkowicie, zupełnie normalnym człowiekiem, o takich samych skłonnościach jak ja czy pan. – odparł Jake, przecierając powieki.

-Chce mi pan powiedzieć, że morderca z Silckenville, jeśli to tylko jedna osoba, ma dokładnie te same skłonności co ja? - Lane

odchylił się na krzesło; sprawiał wrażenie, jakby chciał się roześmiać.

-Chyba nie do końca pan zrozumiał, panie Lane - powiedziała jedna z kobiet, którą Lentz przedstawił jako Sheilę McPherson; jako doświadczony dziennikarz, Lane nauczył się zapamiętywać nazwiska. Jej blond włosy związane były ciasno w koński ogon; wyglądałaby na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat gdyby nie kilka drobnych zmarszczek, które uwydatniły się teraz pod wpływem zmęczenia i presji. - Ten, kto popełnił te wszystkie zbrodnie, zakładając oczywiście, że jest to dzieło jednego człowieka, na co wskazywałyby odciski palców, miał poukładane w głowie dokładnie tak samo jak - na przykład - ja. Dla niego zabijanie nie jest ani rytuałem, ani codziennością. Raczej doświadczeniem naukowym. Miał zmysł artystyczny, modelowanie ofiar to coś w rodzaju jego hobby, było dla niego tym samym, co malowanie dla malarza albo rzeźba dla rzeźbiarza. Ale samo zabijanie jest zabijaniem. Tym samym, czym jest dla nas. Śmierć mająca zapobiec innej śmierci. Zarazanie śmiertelnym wirusem, by znaleźć na niego lekarstwo. Zabijanie jako coś naturalnego, kolej rzeczy, po prostu cena przżycia. -

Sheila McPherson wyprostowała się na krzesło, wciąż jednak nie spuszczając spojrzenia swych brązowych oczu z twarzy Lane'a. Ten ostatni poczuł, że zaczyna mu się robić gorąco.

-Krótko mówiąc, Will - Lentz strzepnął popiół z papierosa. - Wszyscy szukali wariata. My zaczęliśmy szukać wśród tych normalnych.

-W porządku - powiedział powoli Lane - Ale nikt mi nie wmówi, że ten, kto zabił tyle razy i w taki sposób, jest całkowicie normalny.

-Według norm społecznych - nie. Według norm umysłowych - absolutnie, całkowicie tak - rzekła Sheila. - Do tej pory szukano kolekcjonera ludzkich kości, ludożercy... czego innego spodziewać się po kimś, kto poćwiartował własnoręcznie żywych ludzi? Tymczasem byłabym skłonna założyć się z panem o cokolwiek, że wyniki testów psychiatrycznych mogłyby okazać się bardziej obciążające w pana przypadku...

Zapanowała chwila ciszy, którą przerwał Lentz:

-Twoja kawa, Will. - w szarych, stalowych oczach Jeremy'ego Lentza kryło się coś... jakby lekkie rozbawienie.

-E, no tak. Już. Dzięki, Jeremy - Lane umoczył usta w zimnej

zawiesinie i odstawił kubek, natychmiast o nim zapominając. - I to wszystko, co chcieliście mi powiedzieć? Że jestem bardziej świri niż całkowicie normalny morderca, który unicestwił kilkudziesięciu ludzi?...

-Pomyśl, Lane - Lentz nachylił się w stronę dziennikarza - Seria okrutnych morderstw. Nikt nie wie jak ich dokonano. Rok 1981. Niemożliwe, by jedna osoba dokonała tego sama, niemożliwe, choćby tylko dlatego, że nie zmieściłaby się w czasie, nie mówiąc już o niesamowitym wysiłku fizycznym, który byłby konieczny do wymodelowania wszystkich ciał. Niemożliwe jest także to, aby grupa niewidzialnych ludzi, z których ani jeden nie zostawił najmniejszego odcisku palca, rozprawiła się z ofiarami, przez nikogo niezauważona... Chyba, że wszyscy mieszkańcy Silckenville kłamią... Rok 1991. Jakim cudem, mimo ochrony wojska, policji i niezliczonych oddziałów chyba wszystkich możliwych służb specjalnych, zostało zabitych aż 13 osób w ciągu trzech tygodni? A samobójstwa? Jak je wyjaśnić? Potem rok 1996 i śmierć Nortonów. W Silckenville nie było nikogo, mało kto w ogóle wiedział, że oni tam są, mieli przecież wyjechać następnego dnia. Jest jeszcze coś: na każdym miejscu zbrodni znaleziono wszystkie narzędzia, jakie potrzebne były do wykonania makabrycznych rzeźb. Pochodziły one z domów, gdzie to się stało, ich właścicielami były najczęściej ofiary, czasem też sąsiedzi zabitych. Sekatory, siekiery, noże kuchenne, sznury, kleje, farby, tkaniny... Wszystko to było własnością mieszkańców. Jakby sami je wyjęli, Lane. Jakby oni sami dali je mordercy... Pomyśl, uruchom wyobraźnię. Nie odrzucaj rzeczy, które wydają ci się niemożliwe. Nic nie przychodzi ci do głowy?

Lane popatrzył na wszystkich obecnych, jakby w poszukiwaniu natchnienia, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Zobaczył tylko kilka skupionych twarzy. Katherin Slater, która podparła podbródek na dłoni, obserwowała go uważnie. Jej spojrzenie sprawiało, że czuł się nieswojo.

-Cholera, Jeremy, naprawdę nie wiem o co w tym chodzi. - wykrztusił.

-Dave? - Lentz zwrócił się do chudego, czarnowłosego mężczyzny, siedzącego jakby w pewnym oddaleniu od całej reszty. - Czy możesz? To najlepszy facet od paranormalnych teorii - dodał, zwracając się w stronę Lane'a. - Jest niesamowity.

Głównie w obalaniu tych teorii.

David Cane skinął głową w stronę Lentza, ale bez uśmiechu. Lane zmierzył go szybkim spojrzeniem i pomyślał, że nie chciałby być z nim wyjść na piwo. A już na pewno nie chciał z nim rozmawiać w miejscu takim jak Silckenville. Facet miał szarą twarz i wyglądał, jakby sam był upiorem.

Cane zaczął mówić:

- Staraliśmy się wyjaśnić tę sprawę pomijając wszelkie nadprzyrodzone zdolności i paranormalne teorie, co jednak wcale nie było proste. W końcu stanęło na jednym rozwiązaniu, które - chociaż niepojęte i nie do końca właściwie zbadane - zostało naukowo udowodnione. Dodaliśmy do tego fakt, że popelnienie tych wszystkich czynów wymagało wielkiej siły psychicznej - każdy wielokrotny morderca, który morduje w sposób przemyślany, z zimną krwią, jest zwykle człowiekiem silnym, niepodatnym na wpływy, o nieugiętej psychice. Rzadko, naprawdę rzadko zdarza się inaczej. Chodzi o to, że dany typ mordercy jest kimś, kto ma w sobie pewną siłę - czasem nawet bardzo wielką. Moc, która - dobrze użyta - może dawać duże możliwości, jeśli chodzi o narzucenie własnej woli otoczeniu...

Nagle Lane zrozumiał.

- Sugeruje pan... hipnozę? – zapytał z powątpiewaniem.

- To jedyne tłumaczenie, które trzyma się kupy. – odparł Cane, wzruszając ramionami.

-Ale... Jak?

-Jonathan Crane, miejscowy lekarz. - odezwał się niespodziewanie Rally. Lane po raz pierwszy przyjrzał mu się uważniej. Na pierwszy rzut oka Christian Rally mógł wydawać się kimś zwyczajnym, może sprzedawcą butów. Kimś, kogo hobby mogło być wędkarstwo, albo coś wymagającego jeszcze mniej wysiłku.

Jednak przy bliższej z nim konfrontacji wrażenie okazywało się zupełnie mylne. Jego ruchy były szybkie, sposób mówienia zdradzał człowieka obdarzonego błyskotliwą inteligencją. Lane wcale go nie polubił. Nigdy nie przepadał za ludźmi, którzy okazywali się kimś innym niż powinni się okazać, po tym, jak już się przebiło przez pozory. Rally do nich należał.

-Zajmował się między innymi hipnozą – mówił Rally. – Pięć dni temu wywróciliśmy do góry nogami jego dom. Zajęło nam to dwa

dni, właściwie prawie zwątpiliśmy, że cokolwiek znajdziemy. Niczego nie byliśmy pewni, po prostu w momencie, gdy pojawiła się teoria dotycząca hipnozy, wszyscy mieszkający tu lekarze znaleźli się w licznym gronie podejrzanych. Crane miał w Silckenville niewielką praktykę i raczej małą ilość pacjentów, choć wiele spośród ofiar było jego przyjaciółmi. To, że stał się naszym głównym podejrzanym było przypadkiem. Podczas rutynowego przeszukania znaleźliśmy coś, co przeczyli inni... - mężczyzna przerwał, potrząsając głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w ich odkrycie.

-To przypadek rządzi światem, Laney - wtrącił Lentz, bawiąc się uchem kubka po kawie. - Jako dziennikarz powinienes rozumieć to doskonale.

Lane kiwnął głową.

-Chyba tak. - powiedział.

-Podczas przeszukania, które wydawało nam się tylko bezsensownym deptaniem po wytartych już śladach naszych poprzedników - kontynuował dalej Rally - Katherine - wskazał na milczącą dotąd kobietę, która cały czas patrzyła na Lane'a. Nawet nie drgnęła, gdy padło jej imię, odgarnęła tylko ciemne, krótkie włosy opadające jej na oczy. Lane spojrzał na nią szybko i zaraz przeniósł swoją uwagę na mówiącego. - Wpadła na coś, co umknęło uwadze innych...

-Ten lekarz, Crane... - wtrącił Lentz - miał pod podłogą całe archiwum. Książki na temat hipnozy, podręczniki, filmy... w tym kopie filmów przedstawiających śmierć swoich ofiar, zdjęcia, własną ciemnię... Nie pytaj mnie skąd ani jak to wytrzasnął. - Lentz przerwał na chwilę, by zapalić kolejnego papierosa. - Pod podłogą, Lane. Wystarczyło odwinąć linoleum w schowku i przekręcić niewielką dźwignię za regałem w pokoju przylegającym do schowka. Pomysłowe, prawda?

-Przypadek. - powiedział Lane, ciągle próbując nadać sens słowom, które właśnie usłyszał.

-Przypadek. - potwierdziła Katherine, uśmiechając się lekko; nie było w tym jednak wesołości. - Gdyby Chris nie wylał kawy na podłogę, nigdy bym na to nie wpadła...

-Co dalej? - Lane przełknął nerwowo ślinę i gorzki smak zimnej kawy.

-Znaleźliśmy prawdziwy skarbiec. - powiedział Lentz. Wszystko

zatęchłe, ale pouczające...

-Ale jak...?

-Za pomocą hipnozy, panie Lane - podjął Rally - Nasz doktor zabijał pośrednio. Ofiary same cięły się na kawałki, nikt z zewnątrz w to nie ingerował. On kazał im to zrobić. Po cichu. Więc robili, bardzo posłusznie.

-No dobrze... przypuśćmy. Ale jak silna musiałaby być moc hipnozy, która byłaby w stanie popchnąć człowieka do samobójstwa... Nie mówiąc o tym wszystkim, co...

-Bardzo silna. Silniejsza niż cokolwiek innego i na pewno nie było to żądanie narzucone raz czy dwa. Sądzymy, że Crane potrzebował lat pracy - stąd odstęp między zbrodniami. Crane był przyjacielem lub lekarzem zdecydowanej większości ofiar. Przez całe lata...

-Crane wyjechał tuż po rozpoczęciu drugiej fali zgonów, na początku lat dziewięćdziesiątych. - dodała Sheila - Był przerażonym mieszkańcem Silckenville, to wszystko.

-Proszę mi wybaczyć - Lane zwrócił się do niej - Nie wmówi mi pani, że był on normalny. Na przykład filmy... Rozumiem, że kazał też ofiarom nagrywać ich śmierć na video? Delektował się tym. Oglądał to potem, sam nie wiem... To nie jest normalne...

-Nie sądzę, by te nagrania sprawiały mu jakąkolwiek satysfakcję. Traktował je jako wynik eksperymentu. Jako materiał naukowy. - powiedział Jake, sięgając po swój kubek.

-Eksperymentu? - zapytał Lane, czując zawrót głowy.

-Materiały zgromadzone przez Crane'a miały charakter ściśle naukowy, Will. - wyjaśnił Lentz. - Zdziwiłbyś się. Crane uważał, że to, co robi, jest eksperymentem służącym nauce. Co więcej, miał rację.

Lane zadrżał. Pomyślał, że jest w opuszczonym miasteczku, gdzie wydarzyły się rzeczy, które przechodzą niemal ludzkie pojęcie, w dodatku z ludźmi, którzy przebywają tu już jakiś czas, przez całe życie prawie mając do czynienia ze śmiercią i psychopatycznymi mordercami. Nikogo nie mogłoby dziwić, gdyby im także pomieszały się zmysły... Dziennikarz poczuł na plecach strużkę zimnego potu.

-Rację? - zapytał ostrożnie.

-Hipnoza to słabo zbadane zjawisko, postrzegane zwykle mniej jako dziedzina nauki, a raczej zdolności paranormalne, coś spoza tego świata. Niewielu ludzi tak naprawdę uważa ją za możliwą, jeszcze

mniej domyśla się, jaką ma moc. Crane postanowił udowodnić, że może służyć do różnych celów...

-Na przykład do rozpruwania wnętrzości członkom własnej rodziny?! - Nie wytrzymał Lane. Nerwy powoli zaczynały odmawiać mu posłuszeństwa.

-Nie tylko, Will. - powiedział spokojnie Jeremy Lentz - Crane udokumentował większość swoich poczynań: zmuszał ludzi także do innych rzeczy, całkiem nieszkodliwych z punktu widzenia prawa, oczywiście, a czasem nawet pożytecznych. Kazał wędrować im w różne miejsca, robić różne rzeczy, potrafił wmówić komuś ranę od oparzenia, która naprawdę się pojawiała, był w stanie także wyleczyć pacjenta właśnie za pomocą hipnozy, włączając w to nawet złamania, które znikwały o wiele szybciej niż normalnie z chwilą, kiedy podczas seansu zakodował choremu, że kość jest cała. W kilku przypadkach wyleczył ludzi z raka, pojmujesz? Materiały poparte są zdjęciami, filmami, nagraniami kaset magnetofonowych, sprawozdaniami, zdjęciami rentgenowskimi, kopiami kart zdrowia, kopiami recept, wszystkim, co tylko możliwe...

Lane spróbował się otrząsnąć. Był w szoku, to prawda, ale przemożna ciekawość, która skłoniła go do wybrania swojego zawodu powoli brała górę.

-Będę mógł zobaczyć to wszystko? - wykrztusił po chwili.

-Będiesz mógł. - pozwolił Lentz. - Nie wiem tylko, czy zdążysz choćby pobieżnie przejrzeć te materiały. Crane skrupulatnie zapisywał wszystko, każde... lub prawie każde swoje nowe doświadczenie, aż do swojej śmierci. Zmarł na raka w przeddzień swoich 52-ich urodzin, dokładnie 16-ego stycznia 1995r. W 1995, Will.

-Nortonowie... – wyszeptał Lane.

-Strzał w dziesiątkę, Williamie. Punkt dla ciebie. Nortonowie zostali zamordowani w 1996.

-A to oznacza... – Lane szybko dodawał fakty do siebie, jak dwa do stu pięćdziesięciu.

-A to może oznaczać dwie rzeczy, panie Lane. - Rally westchnął - Doktor mógł wywrzeć swój wpływ także i na nich. Mogli pomordować siebie nawzajem, ale jest to mało prawdopodobne. Istnieje druga możliwość, do której osobiście się przychylam. Przypadek Nortonów różni się od pozostałych. Wszystkie

poprzednie zbrodnie miały to do siebie, że nie powtarzały się. Motyw „rzeźby” za każdym razem był inny i nigdy nie było tam niepotrzebnych deformacji. Crane miał duże poczucie smaku trzeba by zobaczyć jego dom, pełen dobrych reprodukcji na ścianach, pełen książek, urządzony w dobrym guście... nie brakowało tam i kilku rzeźb, niewielkich, ale chyba nawet całkiem kosztownych, przynajmniej dla małomiasteczkowego lekarza. Tym razem jednak, w przypadku zbrodni na Nortonach, powtórzył się motyw nietoperza, w dodatku zwłoki zostały uszkodzone w sposób, który nigdy wcześniej nie miał miejsca. Obie ofiary miały spalone genitalia. Ostatniej zbrodni Crane nie zamierzał dokonać. To jego sprawka, ale pośrednio. Było coś, o czym Crane widocznie nie wiedział. Być może nie zdawał sobie sprawy, że podporządkował sobie poszczególne osoby do tego stopnia, tak duży miał na nie wpływ, że najprawdopodobniej pozostają one w jego mocy do tej pory.

-Mówiłem na początku o pomocy z twojej strony, Lane. - odezwał się Lentz - I teraz dochodzimy właśnie do tego, o co mi chodziło. Rozmawiałeś z tymi ludźmi, Will. Znasz sprawę od strony świadków. Pomyśl, Lane. Poszperaj w swoich zapiskach, porozmawiaj z tymi ludźmi znowu. Ktoś spośród nich tak silnie poddał się wpływom lekarza, że jest zdolny zabijać do tej pory. Być może nigdy się to już nie powtórzy. Ale możliwe jest, że jutro albo za kilka lat znów ktoś zginie.

-A co z odciskami buta? – przypomniał sobie Lane.

-Zawsze te same. Męskie trampki, rozmiar 45. Mogę ci je nawet pokazać. Leżą w domu Crane'a, pod podłogą. – Lentz prychnął z niezadowolaniem. - Znaleźliśmy tego w pracowni Crane'a kilkanaście par. Doktorek pomyślał o wszystkim.

-Cholera... – Lane przetarł nerwowo czoło.

-Więcej niż cholera. – Lentz kiwnął głową. – To prawdziwe gówno. Mogło pomagać mu wielu. Mógł to być każdy mieszkaniec Silckenville.

Lane skurczył się na krześle.

-Ok, założmy, że to... wszystko... jest prawdą. Co chcecie zrobić? Oskarżyć całe miasteczko o nieświadomy współudział?

-Nie, panie Lane - podjęła Sheila. - Ale zbrodnia dokonana na Nortonach dowodzi, że wpływ Crane'a nadal nie znika. Musimy zapobiec powtórzeniu się tych morderstw. Albo samobójstw.

Musimy znaleźć ludzi, na których eksperymentował najczęściej, których najczęściej wykorzystywał i spróbować unieszkodliwić. Papiery Crane'a nam ich nie wskazują, a trzeba ich zbadać. Poddać hipnozie po raz kolejny, może uda się coś z nich wydobyć...

-I ja mam pomóc w ich znalezieniu? – Lane zmarszczył brwi; niemal pożałował, że tu przyjechał.

-Tak. – Lentz powiedział twardo. – Inaczej będziemy zmuszeni odnaleźć wszystkich mieszkańców Silckenville, ich rodziny i przyjaciół, po czym poddać ich po kolei długotrwałym testom. Wszystko to należy utrzymać w tajemnicy, co zresztą jest chyba dla ciebie jasne, a trudno byłoby to zrobić w obliczu konieczności podjęcia takich kroków. I jeszcze jedno, Will. – Lentz spojrzał na niego przenikliwie, co zawsze zmuszało ludzi do odwrócenia wzroku - Przypomnij sobie: rozmawiałeś kiedyś z Crane'em?

Lane ponownie poczuł dreszcze, a serce podeszło mu do gardła. O tym nie pomyślał.

-Przeprowadzałem... przeprowadzałem z nim wywiad... W '91 roku.

-Rozmawiałeś z nim sam na sam? – drążył Lentz.

-Tylko raz, przez telefon. Umawiałem się z nim do studia. Pamiętam całą rozmowę dokładnie. Crane wahał się przez chwilę, ale w końcu zgodził się. Spotkaliśmy się dopiero w studiu pełnym ludzi i zamieniliśmy kilka słów przed programem, uzgadniając szczegóły razem z kamerzystą. To wszystko. – Lane powiedział to wszystko szybciej niż zamierzał; czuł na sobie przenikliwe spojrzenia całej grupy.

-W porządku - rzekł powoli Lentz, nie spuszczać z dziennikarza świdrującego spojrzenia. - Podejrzewam, że dla Crane'a to za mało, nawet jeśli chciałby w jakiś sposób wpłynąć na ciebie. Zgodziłbyś się jednak na wszelki wypadek na seans? Żeby sprawdzić?

-To znaczy... Miałbym dać się zahipnotyzować? - z niedowierzaniem spytał Lane.

-Oczywiście nie teraz i nie tutaj. – Lentz zdusił resztkę kolejnego papierosa w popielniczce.

-Ja... Nie wiem.

-Dobrze, wrócimy do tego w swoim czasie- Lentz popatrzył na twarz Lane'a i lekki uśmiešek zagościł na jego twarzy. - Widzę, że przydałaby ci się brandy. Nadal chcesz oglądać materiały

Crane'a?

Lane opanował się trochę i skinął głową. Zmysł dziennikarski wziął w nim górę.

-No tak - westchnął Lentz z lekkim rozbawieniem i wstał, wykonując zapraszający gest w stronę tamtego. - Inaczej nie byłbyś sobą.

*

William Lane wyjechał z Silckenville 27 czerwca 1996 roku o godz. 19.47.

*

Lane usiadł na łóżku zlany potem. Od czasu swojej wizyty w Silckenville budził się tak prawie każdej nocy. Potem leżał godzinę lub dwie, uspokajając się, przy zapalonym świetle.

I tym razem Lane zapalił lampkę nad łóżkiem, a potem opadł na poduszki, rozmasowując bolący kark. Silckenville. Najpierw historia, szalona teoria Lentza i jego zespołu, potem zejście do klitki w podłodze i przeglądanie materiałów zgromadzonych przez Jonathana Crane'a. Mnóstwo zdjęć, papierów, filmów, opisów... Nie przeczytał nawet dziesiątej części tego, nie uśmiechało mu się bowiem zostawać na noc w miasteczku. Wystarczyło jednak, żeby nie przestawać się bać.

Od wizyty w Silckenville minął już tydzień. Lane obiecał skontaktować się z byłym mieszkańcami w najbliższym czasie, zaraz po powrocie do domu, ale nie potrafił sprostać temu zadaniu. Lentz dzwonił już trzy razy i za każdym razem dziennikarz wymawiał się chorobą.

Tak naprawdę dręczyła go jedna rzecz, do której nie przyznał się przed Lentzem i pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że tamten niczego się nie domyślił. Chodziło o Crane'a. Lane skłamał - widział się z Cranem kilka razy, rozmawiał z nim o Silckenville, wypytywał lekarza o szczegóły. Co prawda spotkań tych nie było wiele i zawsze miały one miejsce w zatłoczonych kawiarniach, ale mimo to Lane bał się. Był pewien, że Crane nie wypróbował na nim swoich zdolności, pamiętał mniej więcej przebieg ich rozmów, podpierając się notatkami był w stanie

cytować doktora, ale mimo to strach pozostał.

Lane wstał i poszedł do łazienki, zapalając po drodze wszystkie światła. Spojrzał w lustro nad umywalką - zobaczył zmęczone oczy i szarą twarz. Wstrząsnął się. Szybko wrócił do łóżka i zgasił lampkę. Przez jakiś czas przewracał się jeszcze z boku na bok, aż w końcu zapadł w niespokojną, męczącą drzemkę, przerywaną co chwilę przez koszmarne wizje.

*

Kilka dni później Lane otrzymał kolejny telefon od Jeremy'ego Lentza, który nalegał, by dziennikarz zgodził się na hipnozę. Lane wahał się, ale w końcu wyraził zgodę.

*

12 maja 1996 roku, nagranie seansu hipnozy Williama Lane'a; obecny także Jeremy Lentz, za zgodą pacjenta. Lekarz prowadzący: dr Anthony Blair.

Dr Blair: Proszę się rozluźnić, panie Lane.

W. Lane: Już się nagrywa?

Dr Blair: Tak. Proszę się rozluźnić, zamknąć oczy i pomyśleć o swoim zawodzie.

W. Lane: To mnie raczej nie uśpi.

Dr Blair: Proszę mi zaufać. Proszę się rozluźnić, usiąść wygodnie, zamknąć oczy i pomyśleć o swojej pracy. Jest pan dziennikarzem, pisze pan do gazet, przeprowadza pan liczne wywiady.

W. Lane: Zgadza się.

Dr Blair: W porządku. Na biurku stawiam budzik.

W. Lane: Aha.

Dr Blair: Proszę, by skupił się pan na jego tykaniu.

(chwila przerwy, słycać niewyraźne tykanie wskazówek zegara)

W. Lane: To na nic.

Dr Blair: Proszę zamknąć oczy i skupić się.

(chwila ciszy)

Dr Blair: Równomierne, spokojne tykanie. Usypiające. Zmęczenie usypia. Ciężki dzień pracy, spokojny

wieczór, sen.

(chwila ciszy, slychać tykanie zegara)

Dr Blair: Teraz pan usypia, jest cicho i spokojnie. Tyka zegar, idzie pan spać. Gdy odezwę się znowu, przez sen odpowie pan na moje pytania. Gdy zadzwoni budzik, obudzi się pan.

(chwila ciszy)

Dr Blair: Jest rok 1991. Proszę przypomnieć sobie Silckenville. Co pan widzi?

W. Lane: Nie wiem, nigdy tam nie byłem.

Dr Blair: Ale dużo pan o nim wie?

W. Lane: Powiedzieli mi.

Dr Blair: Kto?

W. Lane: Ludzie stamtąd.

Dr Blair: Długo pan z nimi rozmawiał?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Byli przerażeni?

W. Lane: Tak, bardzo.

Dr Blair: Czy zdołał pan poznać dobrze całą sprawę?

W. Lane: Tak, dość dobrze.

Dr Blair: Czy mógłby pan powtórzyć mniej więcej relacje poszczególnych mieszkańców?

W. Lane: Korzystając ze swoich notatek - tak.

Dr Blair: Rozmawiał pan z lekarzami z Silckenville?

W. Lane: Tak, z trzema.

Dr Blair: Czy może mi pan podać ich nazwiska?

W. Lane: John Crawford, Jonathan Crane, Ronald Schaffer.

Dr Blair: Czy pamięta pan, kiedy to było?

W. Lane: 22 lipca z doktorem Schafferem, 5 sierpnia z doktorem Cranem, dwa dni później z Crawfordem.

Dr Blair: O czym rozmawiał pan z Jonathanem Cranem?

W. Lane: O wydarzeniach w Silckenville. Dr Crane był przyjacielem wielu z ofiar.

Dr Blair: To wszystko?

W. Lane: Jego relacja nie różniła się zbyt od pozostałych.

Dr Blair: Gdzie pan z nim rozmawiał?

W. Lane: W studiu.

Dr Blair: Tylko tam?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Czy rozmawiał pan z nim na osobności?

W. Lane: Tylko przez chwilę. Omawialiśmy szczegóły dotyczące wywiadu.

Dr Blair: Czy doktor Crane proponował panu spotkanie?

W. Lane: Nie, rozmawiałem z nim tylko ten jeden raz.

Dr Blair: Z iloma mieszkańcami miasteczka pan rozmawiał?

W. Lane: Z kilkudziesięcioma. Nie wszyscy chcieli mówić o Silckenville.

Dr Blair: Czy którykolwiek z nich sugerował panu jakieś wyjaśnienie tych zbrodni?

(chwila ciszy)

W. Lane: Nie.

J. Lentz: Czy Crane opowiadał ci o hipnozie, Will?

W. Lane: Nie.

J. Lentz: Kiedy rozmawiałeś z Cranem?

W. Lane: 5 sierpnia.

Dr Blair: A później?

W. Lane: Nie.

J. Lentz: Czy rozmawiałeś z Cranem po 5 sierpnia?

W. Lane: Nie...

J. Lentz: Co ci powiedział?

W. Lane: Kiedy?

J. Lentz: Po piątym sierpnia.

(cisza)

W. Lane: Nie rozmawiałem z doktorem Cranem po piątym sierpnia 1991 roku.

Dr Blair: Gdzie spotkał pan doktora Crane'a po piątym sierpnia?

W. Lane: Nie spotkałem go.

J. Lentz: Czy próbował cię zahipnotyzować?

(cisza)

Dr Blair: Czy doktor Crane próbował pana zahipnotyzować?

W. Lane: Nie.

J. Lentz: Podobał ci się kolor tapet w salonie Crane'a?

W. Lane: Nie lubię niebieskiego.

(chwila ciszy)

J. Lentz: Ile razy byłeś w Silckenville?

W. Lane: Nie byłem tam.

Dr Blair: Skąd pan zna kolor tapety?

W. Lane: Jakiej tapety?

Dr Blair: Tapety w pokoju doktora Crane'a.

W. Lane: Nie wiem, jaki kolor ma tapeta w pokoju dr Crane'a.

J. Lentz: Jest niebieska.

(chwila ciszy)

Dr Blair: Czy poza spotkaniem w studiu zetknął się pan jeszcze kiedyś z doktorem Cranem?

W. Lane: Nie pamiętam dokładnie.

Dr Blair: Proszę sobie przypomnieć. Czy zetknął się pan z nim jeszcze kiedyś?

W. Lane: Z kim?

Dr Blair: Pytałem o Jonathana Crane'a.

W. Lane: A, nie.

Dr Blair: Ale przeprowadzał pan z nim wywiad?

W. Lane: Tak. W studio.

Dr Blair: I nigdy więcej?

W. Lane: Nie.

(chwila przerwy; cisza)

Dr Blair: Czy rozmawiał pan z Jonathanem Cranem więcej razy?

W. Lane: Nie.

Dr Blair: Przeprowadził z nim pan tylko jeden wywiad?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Czy jeszcze kiedyś zetknął się pan z Jonathanem Cranem?

W. Lane: Nie.

Dr Blair: Czy podróż do Silckenville była przyjemna?

W. Lane: Nie byłem w Silckenville.

Dr Blair: Ale ma pan zamiar pojechać?

W. Lane: Nie wiem... Może kiedyś.

(chwila ciszy)

Dr Blair: Teraz zadzwoni budzik i obudzi się pan.

(słysząc dzwonek; chwila ciszy)

W. Lane: To naprawdę nic nie da, doktorze. Nie uda się mnie zahipnotyzować...

Dr Blair: Koniec seansu. 12 maja 1996r., godz. 16.57.

*

23 czerwca 1996; fragment taśmy z nagraniem jednego z seansów hipnozy Williama Lane'a; obecny także Jeremy Lentz, za zgodą pacjenta. Lekarz prowadzący: dr Anthony Blair.

Dr Blair: Ile razy rozmawiał pan z Jonatanem Cranem?

W. Lane: Raz. W studiu.

Dr Blair: Czy doktor Crane pokazywał panu swoje materiały dotyczące hipnozy?

W. Lane: Nie wszystkie...

Dr Blair: Ile lat Crane zajmował się hipnozą?

W. Lane: Prawie trzydzieści.

Dr Blair: Na ilu mieszkańcach Silckenville eksperymentował?

W. Lane: Nie wiem.

Dr Blair: Czy któryś z nich był pod szczególnie silnym wpływem Crane'a?

W. Lane: Nie wiem.

Dr Blair: Czy nie przypomina sobie pan czegoś szczególnego w związku z którymkolwiek spośród nich?

(chwila ciszy)

W. Lane: Kim?

Dr Blair: Mówimy o badaniach doktora Crane'a nad hipnozą. Czy któryś z mieszkańców Silckenville znajdował się pod silniejszym wpływem doktora niż pozostali?

(chwila ciszy)

W. Lane: Nie rozumiem. Nic mi o tym nie wiadomo.

Dr Blair: Znał pan Jonathana Crane'a?

(chwila ciszy)

Dr Blair: Pytałem o Jonatana Crane'a. Ile razy pan z nim rozmawiał?

W. Lane: Raz, w studiu. Udzielał mi wywiadu w telewizji.

*

1 sierpnia 1996, Silckenville, USA

-Nadal nie mogę w to uwierzyć. - Lane nerwowo zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Przez ostatnich kilka miesięcy stał się kłębkim nerwów, co objawiało się między innymi nadmiernym paleniem.

-To znaczy w co? W to, że Crane zdradził ci większość swojej tajemnicy, czy w to, że znów jesteś w Silckenville? - zapytał Jeremy Lentz.

-We wszystko. Pamiętałem, że widziałem się z Cranem, ale nie myślałem... Dlatego wołałem się do tego nie przyznawać.

-Rozumiem i nie mam do ciebie żalu. Poza tym nie dałem się nabrać. - Lentz uśmiechnął się krótko.

-Boję się, Jeremy. Mam cholernego stracha.- Lane urwał i wypuścił dym z płuc.

-Wiem, Will - powiedział uspokajająco Lentz, kładąc Lane'owi rękę na ramieniu - Ale pamiętaj, że jeszcze nie skończyliśmy. To cholernie trudne, dużo trudniejsze niż nam się wydawało... Ale wydestaniemy z ciebie wszystko, co wiesz. Tylko, że na to potrzeba czasu.

-A jeśli... Jeśli okaże się, że ja też wstanę pewnego ranka i... - Lane nie śmiał skończyć.

-Nie myśl o tym, Will.

-Jak mam o tym nie myśleć?! Mogę obudzić się, iść do pracy, wrócić, a potem pokroić na kawałki siebie lub kogoś innego. Nie mogę o tym nie myśleć, Jeremy.

Milczeli przez chwilę, rozglądając się wokół. Była pełnia lata, drzewa zieleniły się na tle błękitnego nieba, ale tutaj, w Silckenville, życie zdawało się nie sięgać. Zapuszczone domy i zarosnięte ogrody, śmieci, popękane ulice - wszystko to razem przypominało cmentarz. - Chodź, Will. Czas jechać.

Lane skinął głową i dał usadzić się w samochodzie na miejscu pasażera. To był ciężki dzień. Obejrzeni jeszcze raz piwnicę Crane'a, chociaż niewiele już w niej zostało, za wyjątkiem kurzu, jeździli też po całym Silckenville, po kolei odnajdując miejsca śmierci „pacjentów” Crane'a.

-Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. W jakiś sposób chyba tego potrzebowałem. - powiedział jeszcze Lane zanim ruszyli.

-Nie ma sprawy. Napiszesz ten reportaż, Will? - miał to być ostatni, podsumowujący reportaż Lane'a na temat Silckenville. Sprawa wkrótce miała być zamknięta.

-Nie wiem.

Lentz kiwnął głową ze zrozumieniem.

Jechali w milczeniu i nie odezwali się aż do bramy wyjazdowej. Dopiero tam Lane zapytał:

-Co z mieszkańcami? Masz zamiar zostawić wszystko tak, jak jest?

-Tak. - mówiąc to, Lentz patrzył przed siebie, na otwierającą się bramę.

-To się może powtórzyć, Jeremy. To się będzie powtarzać. Może nie był to tak do końca zamiar Crane'a, ale to się powtórzy. Co wtedy? Zatuszujecie sprawę?

-To już nie należy do mnie, Will.

-Ale jesteś za to odpowiedzialny. – Lane nie dawał za wygraną.

-I co mam zrobić? Ty nie byłeś zbyt długo pod wpływem Crane'a, a trudno wydobyć z ciebie najmniejszą informację. A tamci? Poddawani hipnozie przez lata? To niemożliwe, Will. Doktor Crane był mistrzem.

Lane spuścił nisko głowę i umilkł, wpatrując się we własne dłonie, które bezwiednie zaciskał w pięści.

-Sądzę - powiedział Lentz wyjeżdżając poza granice miasteczka - że nic już się nie da zrobić.

Brama zamknęła się za nimi.

*

3 września 1996, fragment nagrania seansu hipnotycznego Williama Lane'a, lekarz prowadzący: dr Anthony Blair, obecny także Jeremy Lentz, za zgodą pacjenta.

Dr Blair: Ile razy spotkał się pan z doktorem Cranem?

W. Lane: Raz, w studiu.

(chwila ciszy)

Dr Blair: Ile razy spotkał się pan z doktorem Cranem?

W. Lane: W sumie kilkanaście razy.

Dr Blair: Czy podczas seansów hipnotycznych kazał panu krzywdzić siebie lub innych?

(chwila ciszy)

Dr Blair: Czy podczas seansów hipnotycznych kazał panu krzywdzić w przyszłości siebie lub innych?

W. Lane: Kto?

Dr Blair: Czy podczas seansów hipnotycznych doktor Crane kazał panu krzywdzić w przyszłości siebie lub innych?

(chwila ciszy)

Dr Blair: Czy rozmawiał pan z doktorem Cranem o czymś więcej niż tylko jego doświadczenia naukowe?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: O czym?

W. Lane: O jego pacjentach, ale prywatnie, o telewizji, o mojej pracy, o wielu rzeczach...

Dr Blair: Jak często poddawał on pana hipnozie?

W. Lane: Nie pamiętam.

Dr Blair: Proszę sobie przypomnieć.

(chwila ciszy)

W. Lane: Nie wiem.

Dr Blair: Czy poddawał on pana hipnozie za każdym razem, gdy panowie się spotkali?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Czy rozmawiał pan z nim przez telefon?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Często?

W. Lane: Od czasu do czasu.

Dr Blair: Czy podczas tych rozmów doktor Crane kazał panu w przyszłości krzywdzić w jakiś sposób siebie bądź innych ludzi?

(chwila ciszy)

Dr Blair: Czy doktor Crane narzucał panu swoją wolę w odniesieniu do pańskiego życia?

W. Lane: Nie pamiętam.

Dr Blair: Czy doktor Crane narzucał panu swoją wolę z wyjątkiem nakazu, by zapomniał pan o rozmowach z nim?

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Czy dotyczyło to pańskiego życia?

(cisza)

Dr Blair: Czy doktor Crane kazał panu się zabić?

(cisza)

Dr Blair: Zabił pan kogoś w swoim życiu?

(cisza, słycać szloch)

Dr Blair: Panie Lane, czy...

J. Lentz: Dosyć. Starczy na dzisiaj.

(chwila ciszy)

Dr Blair: Jeszcze jedno pytanie. Czy doktor Crane kazał panu coś dla niego zrobić? Czy dał panu jakieś specjalne polecenia?

(chwila ciszy)

W. Lane: Tak.

Dr Blair: Co to było?

(chwila ciszy)

J. Lentz: Doktorze, naprawdę na dzisiaj star...

(słycać śmiech)

W. Lane: Nie powiem.

(koniec nagrania)

*

Śledztwo w sprawie Silckenville zostało zamknięte dnia 12 września 1999 roku.

Wpadka

„Rozmyślanie o śmierci jest rozmyślaniem o wolności.”

Jim Morrison

„Boże, niech ktoś tu przyjdzie, proszę. Niech ktoś przyjdzie...”

-Pomocy! – krzyknął po raz kolejny i zadławił się otaczającym go zewsząd smrodem. – Pomóżcie! Niech ktoś tu przyjdzie! – zawołał, krztusząc się.

Zastanawiał się jak to możliwe, że się tu wpakował. Jak to się stało? Jak to się, do cholery, mogło stać? Przecież takie rzeczy się nie zdarzają! Nikomu nie przytrafia się wpadka do starej balii pełnej najprawdziwszych ludzkich odchodów, oddzielonych od świata zaledwie pięcioma metrami gładkich, betonowych ścian... To nonsens... Roy niemal roześmiał się przez łzy nabiegające mu do oczu. Całkowity nonsens. Poza tym: przecież powinna być tu jakaś drabina... Właśnie na wypadek, gdyby komuś, na przykład jemu, przyszło do głowy wpaść do starej oczyszczalni ścieków i gnić w tym paskudztwie... prawda?

-Pomocy! Jestem tutaj, w środku!... – jego głos powoli zaczynał słabnąć, a on sam wpadał w panikę.

-Wyciągnijcie mnie, do cholery... – powiedział.

Oprócz paniki wrzała w nim wściekłość: jak to się dzieje, że ludzie w tym cholernym miasteczku wiedzą, że twój cholerny zegarek spóźnia się o cholerne dwie minuty, zanim go jeszcze nastawisz, a nie wiedzą, kiedy ktoś tkwi w balii pełnej gówna? Dlaczego ciekawscy sąsiedzi śledzą każdy jego krok – poza tym jednym jedynym przypadkiem, kiedy ląduje w balii pełnej...

Roy na chwilę przestał myśleć, powstrzymując kolejny odruch wymiotny. Nie chciał zwymiotować. Niewiele by to zmieniło w otoczeniu, ale mimo to nie chciał.

-Kurwa! – krzyknął, kiedy tylko gardło rozluźniło mu się na tyle, że był w stanie coś powiedzieć. Zabrzmiało to jednak bardzo słabo. Znowu zadławił się smrodem. Najgorszy był smród. Szczypiący, ohydny. Śmierdziało tak bardzo, że kręciło mu się od tego w głowie.

Po co tu przyszedł? Po co? Dlaczego przyniósł tu swój tyłek? Dlaczego wlaził na mostek bez barierki, dlaczego założył dzisiaj te cholerne trampki, na których się pośliznął i wpadł po szyję w gówno i to, ach, ależ to zabawne, dosłownie? Wpadł po szyję w gówno, bez dwóch zdań, w każdym sensie... Dlaczego po prostu nie został dzisiaj w domu, oglądając jakiś głupi film i objadając się przy tym chipsami? Wściekłość wzbierała w nim coraz bardziej, mieszając się z paniką.

-Nienawidzę! – krzyknął znowu – Nienawidzę! Niena...! – rozkaszał się, wymioty podeszły mu do gardła. Niemal płakał ze złości. Smród. Pieprzony smród. Pieprzone liście leżące na powierzchni rozgównionej wody. Przełknął. Nie chciał, naprawdę nie chciał wymiotować. Tkwiłby wtedy nie tylko w kupie, ale w swoich wymiocinach. Ta myśl trochę go otrzeźwiła. Praktycznie nie robiłoby to żadnej różnicy, ale on wiedziałby co jest wokół i to miało znaczenie.

„Spokojnie – powiedział mu w głowie głos, ten sam głos, który nie pozwalał jeździć mu z prędkością stu kilometrów na wąskich drogach, uprawiać seksu bez prezerwatywy i łązić po mostkach bez barierki nad baliami z gównem (no cóż, czasami go nie słuchał...). – Zawsze jest jakieś wyjście. Tylko spokojnie. Myśl.”

Jasne. Łatwo powiedzieć. Zebrał się w sobie na tyle, na ile było to obecnie możliwe i z obrzydzeniem rozejrzał się wokół. Znajdował się w ogromnym kotle o średnicy około sześciu metrów. Na górze, jakieś trzy metry nad jego głową, ściany zwięzały się, redukując średnicę okręgu o dobre dwa metry. Wyżej widział kawałek niebieskiego nieba. Przez chwilę zastanawiał się nad celowością takiej konstrukcji, aż w końcu nasunął mu się wniosek, że to wszystko po to, by zmieściło się więcej nieczystości, a na zewnątrz wydostawało się mniej smrodu.

Uspokoiwszy się nieco w ten sposób, kontynuował oględziny. Przed sobą miał grubą, chropowatą rurę, której przytrzymał się kurczowo (jak długo? godzinę? dwie? trzy?...), żeby maź nie wciągnęła go wewnątrz siebie. A właśnie, skoro już o tym mowa: zaczynały go boleć ramiona. Zaczynały bardzo boleć.

Na razie jeszcze pozwolił sobie zlekceważyć ten fakt i przytulił się do rury jeszcze mocniej. Natychmiast poczuł mdłości, spowodowane nadmiernym wysiłkiem fizycznym. Kurczak z obiadu podszedł mu do gardła. Kurczak! Kurczak z pieczonymi ziemniakami i sałatką...

Roy skupił wzrok na rurze. Była ciemnoczerwona, jej kolor kojarzył mu się z Fordem sąsiada. Ford był stary, nieco przyrdzewiały na bokach i nie domykała się w nim tylna szyba. Nie wiadomo czemu sąsiad jeszcze go trzymał, bo jeździł o wiele nowszą Toyotą. Mimo to Ford stał na podwórku, zawsze w tym samym miejscu, przy ogrodzeniu, po prawej stronie posesji. Czasem w zimie tworzył sporą zaspę, kiedy nie był używany, zwykle jednak

po prostu stał pod ogrodzeniem, jako stały element krajobrazu. Ford sąsiada był czymś stałym. Czymś, czego można się było trzymać.

Całkiem jak ta rura.

Rura była długa i szeroka, tak, że nie mógł objąć jej ramionami, nie miała też żadnych zaczepów.

„Co za idiotyzm – pomyślał Roy – Przecież każda Rura od Gówna powinna mieć jakieś zaczepy, na wypadek, gdyby ktoś wpadł do kotła ze ściekami i musiał się jej trzymać, żeby dziesięć milionów kup nie wciągnęło go do środka...”

Na szczęście rura nie była śliska – Roy czuł jej zimną, chropowatą, ale suchą powierzchnię pod palcami. „Na szczęście? Och, stary, ale ty masz szczęście, niech zdechnę...” – powiedział Roy’owi drugi głos. Gdyby ten głos był człowiekiem, miałby postać starego zgreda z wielkim od piwskiego brzuchem, siedzącego na werandzie w samych bokserkach i z szyderczym spojrzeniem komentującego życie niczym nieudany mecz piłki nożnej. Roy prawie się roześmiał, co nie miało nic wspólnego z jakąkolwiek wesołością, ale kurczak znowu znalazł się niebezpiecznie blisko jego przełyku, więc przełykał gorączkowo ślinę przez następne dziesięć lat, aż w końcu kurczak niechętnie, ale posłusznie powrócił na swoją grządkę w okolicach żeber.

Po przeciwnej stronie kotła tkwiła jeszcze jedna rura. Taka sama, jak ta, której Roy się trzymał, ale od tamtej odchodziła jeszcze jedna, która ginęła w betonowej ścianie około pół metra nad ohydną, śmierdzącą mazią. Gdyby znalazł się po drugiej stronie kotła, mógłby teraz siedzieć mniej lub bardziej wygodnie na poziomej rurze, machać dla rozrywki nogami i – przede wszystkim – trzymać twarz o co najmniej metr wyżej niż teraz.

Smród. Śmierdziało tak bardzo, że w zastraszającym tempie stawało się to nie do zniesienia. Roy pomyślał o artykule, który czytał kiedyś, o rybakach w Kambodży, spędzających swoje dni pracy pośród gnijących rybich wnętrzności. Autor napisał, że rybacy są przyzwyczajeni do odoru, który unosi się nad portem. Roy zastanowił się ile czasu zajęło im zaakceptowanie smrodu ryb jako części ich codziennego świata. Dni? Miesiące? Całe życie? Ile zajęłoby mu przyzwyczajenie się do smrodu, który otaczał go teraz? Wiedział, że bynajmniej nie ma na eksperymenty całego życia, chyba że będzie ono o wiele krótsze niż sobie do tej pory wyobrażał. Szczerze mówiąc, ta myśl powoli zaczynała kiełkować w głębinach

umysłu Roya i powoli wydobywać się na powierzchnię. Zepchnął ją w dół i poczuł, jakby wraz z nią pogrążał samego siebie. Zimno wypełzło mu na ramiona.

Roy zsuwał się coraz bardziej. Maż powoli wciągała go do środka. Najpierw, kiedy wpadł, zanurzał się w niej do pasa. Teraz maż sięgała mu do połowy klatki piersiowej. Objął mocniej rurę i spróbował podciągnąć się wyżej. Ledwo dał radę przesunąć się o parę centymetrów. Na powierzchni papka była rzadsza, ale pod spodem, jakiś metr pod powierzchnią, stanowiła zwartą masę, w którą się zapadał. Prawie nie mógł poruszać nogami. Gdy uparcie próbował wywindować się w górę (a, doprawdy, miał coraz mniej siły), poczuł, jak jeden z jego trampków, ten sam, którego dzisiaj, jeszcze przecież całkiem nie dawno wiązał na swojej prawej nodze, zsuwa mu się ze stopy i zostaje na dole, w breji. Tego było za wiele, ten but stał się tragedią. Drugi się trzymał, ale jeden spadał i to było straszne. Przestała się liczyć pozioma rura, na której mógłby siedzieć nie mocząc nawet trampków w nieczystościach, przestał się na chwilę liczyć nawet ten ciężki, zapierający dech w piersiach smród – przecież but zsuwał mu się z nogi! Teraz przyjdą złe, gówniane potwory z kotła i zjedzą jego buta!

Roy znieruchomiał. O tym nie pomyślał. Otaczający go odór i chęć powstrzymania się od wymiotów eliminowały wszelkie inne myśli. Dopiero teraz rozejrzał się wokół, nasłuchując z niepokojem: na powierzchni dojrzał pojawiające się co chwilę niewielkie bąbelki, które znikwały równie szybko jak się pojawiały, z cichutkim „pyk”. Oczywiście pojawiały się one z powodu jakichś niezbadanych reakcji chemicznych, ponieważ na pewno utopionych tu zostało mnóstwo chemikaliów – no i sama kupa zawiera przecież w sobie to czy tamto, ale jednak...

Roy przełknął odruchowo ślinę, a kurczak znów się cofnął. Potwory potworami, nie przerażały go wielkie zęby i ostre pazury, ale z pewnością – tak, z pewnością, wiedział to – bardzo nie spodobałyby mu się – na przykład – oczy wpatrzone w niego gdzieś z ciemności. Spojrzał w niebo. Jeszcze kilka godzin – uświadomił sobie i tym razem jego własne serce powędrowało w górę, wyprzedzając niestrawiony obiad. Po pierwsze: jeśli nie zdarzy się cud i ktoś nie przyjdzie – będzie tu musiał siedzieć nie wiadomo jak długo. Tak, nie wiadomo jak długo... Po drugie: wkrótce zaczniesz się ściemniać...

-Pomocy! – zawołał rozpaczliwie, a jego głos odbił się od betonowej powierzchni ścian. Zrobiło mu się jeszcze gorzej, niemal pożałował, że w ogóle się odzywał. Zamknął oczy i znowu poczuł, że zsuwa się w dół. Przyłgnął do rury najbardziej jak mógł i, starając się nie oddychać, spróbował podciągnąć się w górę.

Jego stopy powoli drążyły bagno na dole, Roy poczuł, jak zsuwa mu się skarpetka, ale tym razem zlekceważył to. Udało mu się wynurzyć nieco bardziej na powierzchnię; ramiona omdlewały mu z wysiłku. Popuścił więc trochę i natychmiast poczuł, jak się zanurza. Szybko przytrzymał się rury i przyłożył rozpaloną twarz do chropowatej, zimnej powierzchni.

„Proszę...” – to słowo tłukło mu się po głowie. Nie wiedział kogo prosił, ale wiedział o co.

Odpoczął chwilę i znowu powoli, bardzo powoli, zaciskając zęby, żeby nie dać opanować się wszechogarniającej panice, zaczął poruszać stopami. Trzymając się najmocniej jak potrafił i przesuając ramiona coraz wyżej, starał się podnieść nogi w górę. Nie pozwolił sobie na odpoczynek wiedząc, że jeśli przestanie, zanurzy się znowu. Jego nogi z trudem poruszały się w gęstym paskudztwie, czuł na pięcie ohydny breję, skarpeta trzymała się już tylko na palcach.

Wydawało się, że trwa to bardzo długo. Roy słuchał pykania pękających na powierzchni bąbli i kawałek po kawałku piął się wyżej. W końcu usłyszał z dołu nieprzyjemny dźwięk, porównywalny do wyskakującego korka od szampana, a potem chlupot – Roy uwolnił nogi z warstwy wsysającego blocka i teraz podkurczał je najbardziej jak potrafił. Przez jakiś czas nie śmiał się poruszyć, aż w końcu ramiona zaczęły krzyczeć o swojej męce – dopiero wtedy rozluźnił nieco uchwyt, ale tylko trochę, nie pozwalając sobie na ponowne zapadnięcie się w głąb. Oddychał ciężko, na jego czole pojawiły się grube krople potu. „Gorzej niż kiedy ostatnio pieprzyłeś tą swoją laskę, co?” – zapytał obleśny staruch z piwem w nalanej tłuszczem dłoni.

-Przymknij się. – powiedział do niego Roy i zamknął oczy.

Pyk. Pyk.

Roy poczuł, że zaraz zwariuje od tego dźwięku, miał wrażenie, że kiedy już stąd wyjdzie („O ile stąd wyjdiesz, chłopcze” – rzekł Wielki Brzuchol z wrednym uśmiechem, wcale nie chcąc się przymknąć), będzie się budził w środku nocy z tym

cichym, denerwującym dźwiękiem w uszach. Zaraz jednak przyszło mu do głowy, że może wcale nie ten dźwięk będzie najgorszą rzeczą, która będzie go prześladować o drugiej nad ranem... Zaciął powieki jeszcze mocniej i pomyślał o Laurze – swojej dziewczynie. Laura – brunetka, świetne nogi, fajne cycki, ładna twarz. Mocny charakter, niegłupia, cięte poczucie humoru, trochę złośliwa. Wyjątek wśród bab.

Poznali się rok temu i od pierwszej chwili nienawidzili się żywiłowo. Mieli wspólnych znajomych, więc widywali się często. Ona – otoczona kordonem piskliwych koleżanek – zawsze potrafiła mu się odciąć, on zaś dawał jej sporo okazji. Nie wiedział dlaczego, ale irytowała go, jednocześnie w jakiś sposób fascynując. W końcu, na jakiejś imprezie u wspólnego kolegi, wylądowali razem na łóżku jego rodziców, czemu oboje nie mogli się nadziwić. Od tamtej pory – to jest od paru miesięcy – spotykali się regularnie i pewnego dnia stwierdzili z jeszcze większym zaskoczeniem, że chyba im na sobie zależy... W dodatku inne dziewczyny wydawały się przy niej jakieś takie... pospolite. No i nawet teraz, w tej kupie gówna, myśl o Laurze była ożywcza. Roy nawet trochę się zawstydził. Wyobraził sobie, jak Laura kpi z jego kretyńskich lęków i zdolność trzeźwego myślenia mu wróciła.

Otworzył oczy. Niebo na górze nadal było niebieskie, słońce jeszcze świeciło. Roy nie miał zegarka i stracił poczucie czasu, ale zdawało mu się, że nie może być później niż szósta po południu. Z domu wyszedł około trzeciej, pół godziny później dotarł do tej przekłetej oczyszczalni ścieków, więc musi tu tkwić około dwóch godzin, może trochę krócej. Na powierzchni ścieków widział wyraźnie zeschnięte liście i rozsiane gęsto wysepki czegoś brunatnego, a spod nich co jakiś czas leniwie wyskakiwały bąble śmierdzącego gazu. W kątach kotła, tam, gdzie światło z góry zasłaniały ściany pomniejszające średnicę okręgu, czaił się już głęboki cień.

Roy czuł, jak całe jego ciało zaczyna drętwieć, a ramiona palą żywym ogniem. Wiedział, że musi zmienić pozycję, bo dłużej nie wytrzyma. Nie miał jednak pomysłu na to, co zrobić. Jego wzrok znowu padł na poziomą rurę po drugiej stronie – dzieliło go od niej jedyne pięć metrów, niestety, była ona dla niego nieosiągalna. Normalnie przepłynięcie długości basenu nie stanowiło dla niego problemu, ale tu pływanie było niemożliwe. Wymagałoby od niego nie tylko dalszego zanurzenia się w brei, ale również użycia ramion i

nóg, które teraz odmawiały posłuszeństwa.

Chociaż na powierzchni breja była rzadsza i nie wciągała do środka...

„Muszę coś wymyślić” – Roy usilnie starał się nie wpaść w panikę i spokojnie zastanowić nad jakimś rozwiązaniem. Jakimkolwiek, byleby dać odpocząć rękom. „No, dalej, przecież wiesz, co możesz zrobić.” – powiedział głos Rozsądku, zdejmując okulary i patrząc na niego znad swojej białej koszuli i granatowego pulaweru. „Nie, nie mogę, to się nie uda...” – odparł mu Roy. „A masz jakiś inny pomysł? Spróbuj, w końcu dłużej nie wytrzymasz.”

Roy, zgadzając się z tą prawdą w pełni, postanowił nie zastanawiać się dłużej. Wyprostował przed sobą nogi, nadal obiema rękami przytrzymując się rury, potem, krzywiąc się z obrzydzenia, położył się prawie całkiem w mazi, przytrzymując się rury. Natychmiast poszedł w dół i zapadł się jedną stopą w gęste pokłady dolnych nieczystości. Z trudem wyciągnął nogę z tym obrzydliwym dźwiękiem kojarzącym się z otwieraniem wstrząśniętego musującego wina (doprawdy, dźwięk ten sam, gdyby tylko nie był tak obrzydliwy...) i wrócił do poprzedniej pozycji, podciągając kolana najwyżej jak się dało. Przez chwilę oddychał ciężko, z rozpaczą wpatrując się w przeciwną stronę kotła; włosy przylepiły mu się do głowy, miał na nich kawałki brudów. Drżał. Rzeczywistość bombardowała go bólem ramion i brakiem możliwości jego zniwelowania.

-Cholera. – zaklął cicho i rozpaczliwie. Ręce miał jak z waty. – Cholera.

Przyłożył twarz do rury i poczuł jej chłód na policzku. Drżał na całym ciele, z zimna i nerwów, ale twarz zalewał mu pot. Czuł grube jego krople spływające mu po skroniach i po nosie, czuł jak mieszają się z brudną wodą kapiącą z włosów.

W mgielce bólu pojawiło się pewne wspomnienie: najpierw odległe, potem coraz bardziej wyraźne.

Miał wtedy pięć, może sześć lat. Po raz pierwszy poszedł na basen ze swoim ojcem, gdzie mieli wspólnie uczyć się pływać. Pamiętał, jak tata kazał położyć mu się na plecach na wodzie i rozluźnić mięśnie. Raz za razem jednak Roy szedł na dno.

„Rozluźnij mięśnie i po prostu zrelaksuj się – powiedział mu wtedy ojciec. – Woda ma wyporność. Sama będzie cię unosić, tylko się rozluźnij.”

A jednak znowu i znowu szedł na dno. Dopiero po kilkunastu próbach udało mu się dokonać złożonej sztuki unoszenia się na wodzie. Nie wiedzieć czemu, było to trudniejsze niż pływanie...

Roy otworzył szerzej oczy, jakby wyrwał się ze snu. Rozluźnić mięśnie. To było teraz problemem. Jego ręce były tak zdętwiałe, że nie był w stanie ich rozprężyć. To było prawie jak skurcze podczas pływania – tych doświadczył kilka razy i wiedział jak sobie z nimi radzić.

-Spokojnie – powiedział sobie i, przytrzymując się rury nogami, odkleił prawą rękę od rury, sięgając nią do lewego ramienia. Mokre ubranie przyczepiło się do jego skóry i czuł narastający chłód, przenikający go do kości, ale skupił się na obecnym zadaniu. Powoli, bez żadnych gwałtownych ruchów, zaczął rozmasowywać lewy biceps – ból przeszył mu bark, ale nie przestawał. Kiedy poczuł mrowienie w lewej dłoni, zaczął ją zawijać w pięść i rozkładać – pomogło. Za chwilę powtórzył całą operację z prawym ramieniem – poczuł, że mięśnie rozkurczyły się trochę.

Spróbował jeszcze raz – zmusił się do powolnych ruchów: podniósł się do góry i wyprostował nogi, pozwalając im unosić się w brudnej wodzie. To też był problem. Uda miał teraz jak ze stali, czuł, jak drżą z wysiłku. W duchu pochwalił się za cotygodniowe mecze rozgrywane z kumplami na boisku, za w miarę regularne wizyty na basenie i siłowni. Gdyby był w gorszej formie, już dawno poszedłby na dno.

Nie mógł sięgnąć do nóg, aby rozmasować mięśnie, ale mógł się na nich skupić. Kolejna częśćka informacji ukazała się na powierzchni jego pamięci: słyszał kiedyś o mężczyźnie, którego zasypało w kopalni. Ten w jakiś sposób uzyskał kontrolę nad swoim ciałem tak, że pompowało ono krew do przygniecionych nóg, dzięki czemu obyło się później bez amputacji. Roy nie wiedział nawet, czy ta informacja była prawdziwa, ale wybrał opcję, że tak.

-Jeśli jakiś górnik to potrafił, ja też sobie poradzę – powiedział na głos i zaraz zdał sobie sprawę jak śmiesznie musi brzmieć. Nie było jednak nikogo, kto mógł go usłyszeć, więc w zasadzie mógł gadać co chciał, prawda?

Roy wyprostował nogi i rozluźnił uchwyt wokół rury tak bardzo, jak tylko mógł bez zapadnięcia się w muliste dno. Skoncentrował się na nogach – ból nie ustępował ani na chwilę, ale powoli odzyskiwał kontrolę nad swoim ciałem.

Wokół niego nie było zbyt wiele brunatnego paskudztwa – w miejscu gdzie wpadł, powstała niewielka przestrzeń pustej powierzchni.

-Teraz – powiedział.

Z trudem rozluźnił wszystkie mięśnie i spróbował położyć się na plecach. Tym razem się udało – znowu poczuł, jak obrzydliwa ciecz wlewa mu się do uszu, ale była na tyle rzadka, że mógł unosić się w niej bezwładnie.

Otoczyła go cisza, przerywana tylko przez dźwięk gazów wydobywających się pod wodą. Nie odważył się nawet zamknąć oczu, bo jeśli to robił, dźwięk ten – z wyjątkiem zimna, które zaczął odczuwać teraz coraz wyraźniej – był jedynym doznaniem, jakie do niego dochodziło. Patrzył więc na niewielki skrawek nieba i próbował nie myśleć. Obserwował kilka liści, które wpadły do środka, jak szybują powoli w dół, dopóki nie zniknęły mu z pola widzenia.

Nie ruszał się. Z dołu słyszał uwalniający się gaz. Brzmiało to jak pierdnięcia smoków i prawie się roześmiał kiedy to wymyślił, ale tylko prawie. W chwilę później znowu rozżłościł się na los. Dlaczego tu w ogóle przyszedł? Co mu odbiło? Jak to się stało? Boże, przecież to jakiś koszmar – o tak, to tylko sen, zaraz się obudzi i będzie po wszystkim. No bo jak to? Taki przypadek? Ślepy, głupi traf? Taki mały, pechowy traf: hop – siup, nóżka ci się pośliznie i lądujesz na dupce w kupce. Rany... Na dodatek śmierdzi, śmierdzi tak okropnie, że nie da się wytrzymać – a jednak wytrzymuje i jeszcze leży w tej breji, która wlewa mu się do uszu i niedługo przedziurawi mu pewnie mózg. Walczył rozpaczliwie z mdłościami, bo wiedział, że jeśli teraz zacznie wymiotować, zapadnie się w sam środek gówna albo udusi zawartością własnego żołądka. Rozpaczliwie starał się nie napinać mięśni. Na razie mu się udawało. Na razie.

Starą oczyszczalnię ścieków mieli zlikwidować. Roy słyszał już o tym niejednokrotnie, dlatego przyszedł ją sobie obejrzyć („Jakby nie było ciekawszych rzeczy do oglądania, kretynie” – powiedział Super Piwosz i poluzował gumkę w bokserkach). Nigdy tu nie był, pamiętał tylko, że jeszcze przed paroma laty smród z oczyszczalni rozchodził się na całą okolicę. Wtedy oczyszczalnia jeszcze działała.

Roy wszedł tu od strony rzędu garażów. Była tam wielka

dziura w siatce, która umożliwiała swobodny dostęp do starych zabudowań. Po drodze znalazł starą, gumową rękawicę, na w pół spaloną, i kilka innych śmieci. Kto tu przychodził, kto palił tu gumowe rękawice – Roy nie wiedział i wtedy się nad tym nie zastanawiał.

Minął dwa wielkie, prostokątne doły, z każdej strony opatrzone drewnianymi zapadkami. Miały głębokość nie większą niż pół metra i kojarzyły się Roy'owi ze zbiorowymi grobami, porośniętymi trawą i wysokim zielskiem. Już samo to powinno sprawić, żeby sobie poszedł stąd jak najdalej, najlepiej do domu, do Laury, do komputera, obojętnie do czego jeszcze, ale nie, szedł dalej.

Przed sobą miał stary dom z okienkiem na poddaszu i pagórek, w który wbudowane były cztery olbrzymie balie.

Najpierw wszedł do domu, do którego prowadził stary, zardzewiały most. Nieopodal stała zepsuta latarnia, niedziałająca już od dawna. Klosz był potłuczony, rdza okrywała szary niegdyś słup. Most umożliwiał swobodne przejście przez szeroki rów wypełniony bagnem brudnej wody i ohydny zielskiem. Wszedł do środka. Pomieszczenie było niewielkie, niegdyś zapewne bielone wapnem, teraz obskurne, pokryte pajęczynami. Na samym środku znajdowało się jakieś urządzenie z popstutą tablicą rozdzielczą i odchodzącymi od niego grubymi rurami. Po prawej stronie drzwi tkwiła spora puszka z licznymi przełącznikami.

Przezornie niczego nie ruszał. Dalej na prawo znajdowała się drabinka w ścianie, prowadząca na poddasze. Balansując między rozrzuconymi po podłodze śmieciami (puszki, stare gazety i mnóstwo pierza, pochodzącego z rozdartej poduszki, walającej się w kącie niczym postrzępiony duch), Roy dotarł do niej i wspiął się na górę. Szczeble były brudne; czuł piach i rdzę pod palcami.

Nie wszedł na poddasze – jedynie wychylił głowę, by zobaczyć, co się tam znajduje. Ujrzał tylko zakurzone deski, parę rupieci pod ścianą, ledwo widocznych w słabym świetle przebijającym się przez zakurzone okienko naprzeciw wejścia, i stertę pościeli leżącą tuż pod parapetem.

„Zimowisko dla bezdomnych” – pomyślał. Wiedział, że teraz nikogo nie ma, dawno nikt tu nie przychodził. Świadczyła o tym gruba warstwa kurzu na podłodze, widoczna pod światło, nienaruszona śladami stóp.

Zszedł na dół. Do butów poprzyczepiały mu się pióra z rozdartej poduszki – na dworze było mokro, więc miał wilgotne podeszwy. Wyszedł na zewnątrz, krztusząc się lekko od kurzu (był jednym z tych szczęśliwców, którzy mogli poszczycić się alergią na drobnoustroje, pyłki kwiatków oraz wścibskie staruszki) i wytarł buty o betonowe podwyższenie przed drzwiami, potem jeszcze o trawę (ale teraz jeden z jego trampków tkwił gdzieś pod nim, więc robił to oczywiście niepotrzebnie, prawda?).

Zaraz z lewej strony domu znajdowały się pokruszone już schody, prowadzące na szczyt wzniesienia, jednak Roy postanowił okrążyć cały pagórek i wejść od przodu.

Ruszył przed siebie, torując sobie drogę przez wysokie trawy. Pagórek był dość wysoki, ale nieduży w obwodzie. Kiedy wyszedł zza niego tak, że widział już pobliskie jezioro, trafił na coś w rodzaju okrągłej sadzawki, przeciętej żelaznym mostem, przy którym tkwiły dwie dźwignie, pokryte odłóżką, zieloną farbą. Rozejrzał się wokół. Po swojej lewej ręce miał bramę, zamkniętą na zardzewiałą kłódkę. Jedno z jej skrzydeł było nieco zagięte, jakby ktoś próbował ją wyważyć i zrezygnował. Kilka metrów za ogrodzeniem znajdowała się ścieżka wiodąca nad pobliski staw.

Ruszył dalej. Po prawej wznosiła się niewielka górka, w którą wbudowane zostały betonowe balie, tworzące dwa okrągłe wybrzuszenia. Na dole, mniej więcej na środku ściany znajdowały się wypaczone drzwi, otwarte do połowy. Tuż koło drzwi była drabinka prowadząca na górę, podobna do tej, po której wchodził na poddasze. W miejscach, gdzie wybrzuszenia stykały się ze ścianą koło drzwi, wystawały u dołu dwa betonowe kloce z kwadratowymi otworami w środku, porośnięte mchem. Ogólnie cała konstrukcja sprawiała przygnębiające wrażenie – nawet w słoneczny, wrześniey dzień. W jakiś sposób słońce sprawiało, że obsypany tynk i gołe, kruszące się cegły wyglądały jeszcze bardziej posępnie.

Najpierw zajrzał do pomieszczenia, które skrywały odrapane drzwi. Otworzył je najszerzej jak się dało, aby wpuścić jak najwięcej światła. Wnętrze było małe, jego ściany bielono niegdyś, jednak teraz były po prostu szare, pokryte brudem i pajęczynami. Nad głową Roya biegły dwie grube rury ginące w półokrągłej ścianie, jedna z nich skręcała gdzieś w górę. Na podłodze walały się zwiędłe, zeschnięte liście, a każdy kąt wypełniały pajęczyny... I pajęczne zwłoki, mnóstwo martwych stworzeń zwisających z góry.

Roy nigdy przedtem nie widział czegoś takiego: te zdechłe pająki, zawieszane na cienkich nitkach były tu tak długo, że pokryło je coś białego, co wyglądało jak drobny osad soli. Przypomniało mu to pewne doświadczenie, które robił jeszcze w szkole podstawowej: do słoika wlewało się wodę, w której rozpuścić trzeba było sól. Następnie wkładało się tam nitkę zawiązaną na patyku. Sól osadzała się na nitce i na drewnie, czasem także na krawędziach słoika. Jemu nie bardzo się to udało: użył zbyt cienkiej nitki. Po wyparowaniu soli wyglądała ona jak nogi tych pajaków. Dotknął jednego z nich. Zaschnięte szczątki rozsypały się w proch, osiadając na jego ubraniu. Cofnął się ze wstrętem i szybko wyszedł, otrzepując bluzę. Na zewnątrz otrząsnął się i odetchnął z ulgą. Spojrzał w górę i nie zwlekając już dłużej wspiął się na górę. Ta drabina też była brudna; śmierdziały od niej ręce – był to denerwujący, metaliczny zapach rdzy.

Na górze ujrzał dwie mniejsze balie. Jedna z nich wypełniona była po brzegi kawałkami plastikowych rurek, druga kamieniami, wśród których rosły – nie wiedzieć czemu – dwa bujne krzaki pomidorów. Wszędzie wały się żółte liście.

W samym środku pierwszej balii tkwiło kolejne urządzenie niewiadomego przeznaczenia, zakończone długą wajchą, sięgającą niemal betonowych brzegów. Na rurki rzucona była zielona siatka. Wszedł na nią jedną nogą, a stopa natychmiast ugrzęzła mu w środku – mógł jednak stanąć, nie zapadając się głęboko. Chodził po tym przez chwilę i słuchał chrzęstu starego plastiku. W końcu rzucił się cały na siatkę (była trochę mokra, ale mu to nie przeszkadzało) i leżał tam przez chwilę, wystawiając twarz na słońce. Pomyślał, że właściwie musi już wracać, bo umówił się tego popołudnia z Laurą (no tak, umówił się z Laurą, a teraz tkwi w kupie i właśnie ją wystawił; jak mógł? – już widział, jak robi mu wymówki: „Roy, jak mogłeś wpaść do tego gówna, skoro wiedziałeś, że przyjdę?” Przepraszam kochanie, to się już nigdy nie powtórzy...), ale leżał tak jeszcze chwilę, ciesząc się ciepłem i patrząc w błękit nieba. Zastanawiał się nad tym, co będzie dalej – ot, moment refleksji.

W tym roku kończył szkołę średnią. W tym roku miał decydować o swojej przyszłości. Jego rodzice mieli w tej kwestii sporo do powiedzenia, ale Roy wiedział, że ostateczny wybór należy do niego. Chciał iść na studia, na informatykę lub elektronikę. Chciał stąd wyjechać, przynajmniej na jakiś czas. I chciał, aby Laura

jechała z nim. Kilka tygodni temu rozmawiali o tym po raz pierwszy. Siedzieli nad wodą, wygrzewając się w słońcu.

-Chcesz wody? – zapytała Laura, wyciągając do niego rękę, w której trzymała plastikową butelkę wody mineralnej.

-Nie, dzięki – odpowiedział, spoglądając na nią z uznaniem, jak zwykle. Lubił jej naturalnie czarne włosy i za każdym razem miał ochotę ich dotknąć.

-To nie – Laura wzruszyła ramionami, zakręcając butelkę i chowając ją do plecaka. – Uff, ale dzisiaj gorąco.

-Prawdziwe lato – Roy przytaknął.

-No. Zawsze kończy się zbyt szybko, prawda? – zapytała.

-Niestety.

-Zdecydowałeś już czy jedziesz z rodzicami? – Laura rzuciła mu pytające spojrzenie. Jego rodzice wybierali się wtedy nad morze i zaproponowali, żeby jechał. Jeśli chce.

-Nie, zostanę. Będę miał dom dla siebie... - Laura uśmiechnęła się do niego szelmowsko. – Będiesz mogła mnie odwiedzać. Jeśli chcesz – dodał.

-Zobaczymy – roześmiała się. – Jesteś pewien, że nie chcesz jechać?

-Tak – spojrzał na nią i oboje się roześmiali. Było dla nich jasne, że opcja spędzenia tygodnia z rodzicami jest mniej atrakcyjna niż tydzień spędzony wspólnie z dala od rodziny.

Nagle Laura spoważniała, jakby sobie o czymś przypomniała, i zapatrzyła się w wodę.

-Hej, co jest? – Roy spytał, myślami wciąż będąc przy ostatnim temacie.

-Nic – ucięła dziewczyna.

Ale Roy nie dawał za wygraną.

-Hej, przecież widzę. Co ci chodzi po głowie?

Laura spojrzała na niego kątem oka, odgarniając do tyłu włosy. Roy znów poczuł przemożną chęć, aby ich dotknąć.

-No nic takiego w sumie. Zastanawiam się tylko ile to wytrzyma. To znaczy... Mam na myśli nas.

-Jak to? – Roy spojrzał na nią, zaskoczony. Takie właśnie są baby, pomyślał. Słoneczny, przyjemny dzień, rozmowa o niczym, a one wynajdują sobie problemy. A potem sam się nad tym zastanowił.

-Masz na myśli to, co będzie w przyszłym roku, tak? – zapytał na wszelki wypadek.

-Ty chcesz wyjechać na studia – powiedziała Laura, patrząc mu

prosto w oczy.

-A ty? Ty przecież też chcesz wyjechać – Roy wzruszył ramionami.

– Nie widzę problemu.

-No cóż, zobaczymy. Mamy jeszcze cały rok – Laura uśmiechnęła się do niego i położyła mu głowę na piersi. Roy zanurzył dłoń w jej włosach. Pachniały jakimiś kwiatkami.

Leżąc tak na starych, plastikowych kawałkach rurek, służących nie wiadomo do czego, Roy myślał o tamtej chwili. Zastanowił się jaka może być jego przyszłość, czy też ich przyszłość i czy to jest dobry moment, aby cokolwiek planować. W końcu potrząsnął głową, jakby odpędzając od siebie natarczywe myśli i podniósł się, po łydki zapadając się w plastik.

I właściwie kierował się już na dół żeby wracać, pomyślał jednak, że skoro już tu jest, i to pewnie po raz ostatni, to jednak wejdzie jeszcze po jakże zachęcających rozwalonych schodach i zajrzy na samą górę. Tylko zerknie i zaraz sobie pójdzie. A potem wszedł na mostek bez barier, kończący się nad balią ze ściekami, pośliznął się, nie zdołał utrzymać równowagi i znalazł się na dole, po szyję zanurzony w śmierdzącym paskudztwie. Właściwie dziwił się, że jeszcze żyje. „Kto wie, może już niedługo.” – powiedział grubas z piwkiem, rozwalony na leżaku stojącym na obszernej, zaśmieconej werandzie. „A ciekawość to pierwszy stopień do piekła” – dodał jeszcze, ukazując w kpiącym uśmiechu rząd żółtych zębów.

Roy starał się nie słuchać dźwięków dochodzących poprzez rzadką maź. Czuł jednocześnie, jak ciśnienie wody napiera mu na uszy. Nadal leżał bezwładnie, unosząc się na powierzchni. Mięśnie trochę odpoczęły, ale całe jego ciało zaczynało drżeć z zimna... a może ze strachu. Zastanawiał się, kiedy jego najbliżsi zorientują się, że coś jest nie tak. Na pewno nie przed wieczorem. Rodzice sami wrócą późno, zresztą są przyzwyczajeni do jego niewczesnych powrotów, więc na pewno nie zmartwią się zbyt szybko... Laura zaś przyjdzie i nie zastanie go (właściwie to już chyba przyszła) – będzie niezadowolona, ale pomyśli, że po prostu poszedł gdzieś, nie uprzedzając nikogo.

Laura... Boże, a tak się cieszył na dzisiejszy wieczór! Miał wolny dom i nadzieję na małe i sycące sam na sam. Roy pomyślał o jej aksamitnej skórze dekoltu, o jej nogach obejmujących go w pasie... Z zaskoczeniem poczuł, jak dolne części jego ciała napinają

się niebezpiecznie, więc natychmiast porzucił te myśli.

Niebo w górze powoli ciemniało. Czysty, jasny błękit zastąpił już głębszy odcień, zwiastujący nieuchronne nadejście wieczoru. Słońce zachodziło.

Roy całą swą uwagę skupił na nienapinaniu mięśni – nigdy nie przypuszczał, że tak – wydawałoby się – prosta czynność sprawiać może tyle problemu. Kiedy się leży na wygodnej, miękkiej kanapie, nie jest to trudne, ale – ha! – spróbuj utrzymać się na powierzchni ścieków... Najwolniej jak mógł, bez wysiłku, tak, by nie tracić utrzymywanej równowagi, przekręcił delikatnie głowę w prawo. Ciecz podpłynęła mu do oka, ale nie sięgnęła gałki ocznej. Skrzywił się, ale cel osiągnął: zobaczył szczyt rury, której do tej pory się trzymał. Gdyby jej koniec ginał poziomo w betonowej ścianie balii, być może udałoby mu się na nią wspiąć. Owszem, jej koniec ginał poziomo w ścianie... Ale pomiędzy rurą a pochyłym stropem stworzonym przez zwężające się ku górze krawędzie ścian nie było miejsca – obie powierzchnie dzieliło od siebie zaledwie kilka centymetrów. Nikła nadzieja zniknęła – przekręcił z powrotem głowę, a łzy rozczarowania spłynęły mu na boki, topiąc się w brei.

„Nie przejmuj się – rzekł głos Rozsądku – I tak nie wspiąłbyś się po tej rurze, przecież wiesz.”

„Zamknij się.” – odpowiedział Roy. „Skoro jesteś taki mądry, to wymyśl coś innego! No? Co teraz?”

Głos milczał. Roy wpatrywał się tępo w ciemniejące w zastraszającym tempie niebo. Niestrawiony kurczak krzyczał o swej obecności. „Dłużej nie wytrzymam!” – usłyszał Roy gdzieś w swoich myślach, ale uwierzył dopiero wtedy, gdy zaczął się dławić. Szybko zerwał się, znowu wpadając w dolne pokłady ruchomych piasków z metanem w składzie chemicznym i rozpaczliwie uczepił się rury. Wydalał zawartość swego żołądka przez lewe ramię tak długo, że zdawało mu się, jakby wyrzygał wszystkie swoje wnętrzności. Oto poszły jelita, panie i panowie, w najbardziej awangardowym przedstawieniu ostatniego roku pod tytułem „Rzygający Roy”. Czekamy na jeszcze!...

W końcu, dławiąc się już tylko, przyłożył twarz do śmierdzącej, nieprzyjemnej powierzchni swojej jedynej przyjaciółki i oddychał ciężko. Trwał tak kilkanaście minut, aż ból ramion powrócił ze zdwojoną siłą. Dopiero wtedy trochę zwolnił uchwyt i rozejrzał się. Niebo w górze pociemniało jeszcze bardziej, w

dogasającym świetle dnia widział jeszcze, jak jego własne rzygowiny unoszą się na powierzchni mazi, w której tkwił. Myślał, że wymiotował już wszystko.

Mylił się.

Dopiero po jakimś czasie był w stanie normalnie złapać oddech. W gardle piekło go i drapało, jakby ktoś przeczyścił mu cały przełyk szczotką ryżową. Spróbował przełknąć śladowe ilości śliny, którymi aktualnie dysponowały jego usta, ale mu się nie udało. Zamiast tego znowu się udławił, ale tym razem zapanował nad mdłościami. Dotarło do niego, że stopy znowu ugrzęzły mu w czymś gęstym, ale chwilowo nie miał siły ich wyciągać. Odpoczywał. No, może nie odnosiło się to do jego ramion, ale do żołądka na pewno. Czuł chłód, od którego drżał cały, i mokre włosy przylepione do czaszki. Pot na czole znów spływał powoli małymi strużkami – czuł go na powiekach, na nosie, na policzkach.

Pyk. Pyk. Pyk.

Roy otworzył zamknięte dotychczas oczy i odważył się jeszcze raz spojrzeć wokół.

W kotle było już ciemno. Tylko na samym środku widać było jeszcze zeschnięte liście i brunatne kupki paskudztwa, spod których wyskakiwały bąble. Przy bocznych ścianach balii nie widać już było niczego.

-Jeśli stąd wyjdę... – powiedział Roy cichym, trzęsącym się, zachrypniętym głosem – Już nigdy... nie będę... chodził... sam do starych oczyszczalni ścieków. – Jego głos zabrzmiał dziwnie w niewielkim pomieszczeniu, ale przynajmniej zagłuszył to cholerne pykanie bąbelków gazu – I...

-I co, chłopcze? – Roy usłyszał dochodzące z góry słowa i natychmiast podniósł głowę. Pożałował. Zakręciło mu się w niej okropnie i znowu zachciało mu się wymiotować, jednak opanował się. Dopiero po chwili wzrok wyostrzył mu się na tyle, że mógł dostrzec zarys czyjejś głowy nad otworem kotła.

-Bo ja na twoim miejscu przede wszystkim bym się umył.

-Dzięki Bogu... – wyszeptał Roy czując ogromną ulgę – Proszę mnie stąd wyciągnąć... – wychrypiał.

-Wyciągnąć cię? Niestety, obawiam się, że to przekracza moje możliwości.

Pomyślał, że się przesłyszał. Jak to? Przecież ten człowiek przyszedł tu, żeby go ratować, czyż nie? Wścibscy sąsiedzi

zorientowali się gdzie on jest, w jakie cholerne gówny wpadł i przysłali kogoś, żeby go stąd wyciągnął... Uczucie ulgi nie opuszczało go jednak ani na chwilę. Czuł się tak lekko, że mógłby chyba stąd wyfrunąć. No jasne. Przysłali kogoś, ale tylko po to, by on, Roy, sam stąd wyfrunął. Roy czuł, że wszystko zaczyna mu się już mieszać, zamrugał więc oczami, chcąc odzyskać przytomność umysłu. Niewiele pomogło, ale zawsze trochę.

-Proszę... proszę wezwać... pomoc...

-Pomoc? A po co? Czyżbyś nie umiał sam stąd wyfrunąć?

-Ja... – czyżby ten człowiek czytał w jego myślach? Nie, to niemożliwe... – Jak to? – zapytał Roy.

-Ano tak to. Taki zdolny, silny chłopak jak ty sobie nie poradzi?

-Ja...

-Chyba jednak nie – powiedziała głowa znad otworu, a w jej głosie pojawiły się współczujące nutki. – Wpadłeś jak śliwka w kompost... Ha, ha, ha. Chyba przydałaby ci się pomoc, co?

-Tak... – powiedział Roy. Nie bardzo wiedział co się właściwie dzieje. Przecież ten człowiek wie, że on tu jest, przecież powinien mu jakoś pomóc. To oczywiste... tak?

-Dobra. Mogę wezwać pomoc. Ale nie teraz – głowa ziewnęła głośno. – Jestem trochę śpiący i nie chce mi się teraz nikogo wołać... A swoją drogą, mój chłopcze – tym razem głos stał się surowy. – Czy wiesz jak wiele kłopotu sprawisz tym, którzy będą musieli przyjść tu i cię wyciągać?

-Ja... Nie chciałem... – Roy nie podążał za słowami przybysza, ale poczuł, że powinien się z czegoś wytłumaczyć. Kręciło mu się w głowie, ciemność robiła się coraz gęstsza, a smród nadal nie dawał mu spokoju. Wokół niego pękały bąble na powierzchni brei.

Pyk.

Pyk-pyk. Pyk.

-Oczywiście, oczywiście – powiedziała głowa zrzędlwym tonem. – Wy nigdy nic nie chcecie, a potem jeszcze wyśmiewacie się z naiwności głupich staruchów, nie?

-Nie... - wychrypiął znowu Roy, wciąż nie podążając za rozmową.

„Dlaczego ten człowiek nie chce mnie wyciągnąć?” – przemknęło mu przez myśl.

-A więc zaprzeczasz, gnojku?! – krzyk z góry wypełnił balię. Roy poczuł dreszcz biegnący od stóp do głów.

-Nie... Proszę... mi pomóc... - wydusił.

-Powiedziałem już, że nie umiem – dobiegło go z góry. Przez krotką chwilę wydawało mu się, że ktokolwiek był tam na górze ma rację: ratunek jest niemożliwy. Przecież nikt nie wskoczy tu za nim. Tylko on, Roy, mógłby stąd wyfrunąć...

Roy potrząsnął głową, próbując się otrząsnąć. Zaczynało mu się wszystko mieszać, więc skoncentrował się na bólu. Ból był prawdziwy i chociaż stawał się trudny do zniesienia, był realny.

-Wezwać... – Roy wykrztusił znowu, tym razem jednak o wiele ciszej. Myślał, że jego rozmówca go nie usłyszy, ale po chwili dobiegła go odpowiedź:

-Ach, to. Rano.

-Ale...

-Rano. Wezwę kogoś rano. Dobranoc – głowa zniknęła z pola widzenia Roya.

-Nie, proszę... proszę poczekać!... – zawołał najgłośniejszym jak mógł, zwalniając uchwyt ramion. Natychmiast poczuł, jak zanurza się w ohydnej breji po kolana, ale nie zwrócił na to uwagi.

-Proszę!... proszę zaczekać! Już... nie... mogę!... Wyciągnijcie... mnie stąd!...

-Nie wrzeszcz – usłyszał z góry. – Zdzierasz tylko gardło, nic ci to nie da, chłopcze.

-Po...mocy...! – spróbował jeszcze raz. Jedyłą odpowiedzią było wesołe gwizdanie, oddalające się powoli.

Roy poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy złości.

-Nie...Nie!... Ty skurwysynie!... Nie... zostawiaj... mnie... tu...! – echo krzyku rozniosło się po balii. Roy przestał się ruszać, zdumiony swoim własnym głosem, odbijającym się od betonowych ścian. Był zachrypły, zmieniony, ale ciągle należał do niego.

-Nie pomagasz sobie – usłyszał z góry, a zarys głowy znów na chwilę pojawił się nad otworem. – Miłych snów, bezczelny chłopcze.

-N... – zaczął Roy, ale udławił się, gardło odmówiło mu posłuszeństwa. Ostatni krzyk kosztował go widać zbyt wiele wysiłku. Z góry zniknęła głowa i Roy usłyszał jeszcze cichy śmiech, oddalający się coraz bardziej, aż w końcu wszystko ucichło.

Pyk. Pyk. Pyk.

Prawie wszystko.

Roy przytulał się do rury jak ogłuszony. Łzy ściekały mu aż na brodę, potem na szyję, zaczynał trząść się z zimna. Gardło piekło

go żywym ogniem, nadwerężone. Nogi do połowy uwięzione miał w spodniej warstwie wciągającej mazi. Brakowało mu już sił.

„Nawet jeśli ten psychopata wezwie rano pomoc – pomyślał rozpaczliwie – Nie wytrzymam. Do tego czasu utopię się w gównie i nikt mnie tu nawet nie znajdzie...”

Pyk. Pyk.

Roy spojrział w górę – na niebie pojawiła się już pierwsza gwiazda – pierwsza, którą mógł dojrzeć. Mimo to pomyślał życzenie: „Pomóż, błagam”. Przytulił się do rury i zamknął oczy. Wołał to niż wszystkie cienie czające się w obrębie kotła. Nogi zapadły się o następny centymetr. Roy jęknął, ale nic nie mógł na to poradzić. Obejmował rurę na tyle mocno, na ile mógł i nic więcej nie był w stanie zrobić. „Zginę tu” – przemknęło mu rozpaczliwie przez głowę – „Umrę topiąc się w ludzkich odchodach, w ściekach, w brudach...”

Czas mijał.

Roy, przytulony do zimnej rury, po raz pierwszy w życiu pomyślał o śmierci jako o czymś realnym, co rzeczywiście mogłoby mu się przydarzyć. Jeśli umrze tu, w tym kotle pełnym gówna, całe miasteczko wspominać go będzie jako chłopaka, który utopił się w odchodach. Na tą myśl poczuł się jeszcze gorzej. A co na to jego rodzice? Laura? Już na zawsze będzie dla nich Tym, Który Utopił Się W Gównie.

Roy prawie się roześmiał, ale zaraz wszelka wesołość odeszła, aby ukryć się gdzieś w przeciwległym kącie kotła. Przecież miał iść na studia... Miał studiować elektronikę... Miał jechać w góry ze znajomymi. W przyszły czwartek miał pisać test z matematyki. Zaprosił Laurę do kina, na sobotę...

Roy poczuł, jak coś ścisza go w piersiach. Tym razem nie był to zjedzony wcześniej obiad czy przemożna chęć jego ciała do dalszego wymiotowania. Tym razem były to desperacja i rozpacz, które podstępnie wkradły się w jego myśli. Roy zadygotał. Tylko raz miał podobne uczucie – bardzo dawno temu...

Była zima. Miał może trzy, może cztery lata. Pamiętał, że ubrany był w zielono-niebieski skafander z biedronką na plecach – panią Biedronką, tak ją wtedy nazywał. Chyba do siódmego roku życia każdego czerwonego owada w czarne kropki nazywał „panią Biedronką”, właśnie przez ten nadruk na ubraniu...

Matka zabrała go wtedy do centrum handlowego. Najpierw

siedział grzecznie w wózku, z ciekawością rozglądając się wokół, oglądając kolorowe opakowania na sklepowych półkach. Po jakimś czasie jednak znudziło mu się to i chciał zejść ze swojego wygodnego siedziska i iść sam. Marudził dotąd, dopóki mama nie pozwoliła mu zejść na dół.

-Tylko trzymaj się blisko – powiedziała mu. – Nie zgub się.

Roy na początku szedł zaraz koło niej, ale potem weszli w dział z zabawkami i Roy zaczął zostawać w tyle. Mama upomniwała go kilka razy, ale on nie słuchał: nagle znalazł się w królestwie maskotek, samochodzików, gier planszowych i zdalnie sterowanych samolotów na baterię. Dla trzylatka to był raj. Aż do momentu kiedy poprzez strumień innych klientów nie mógł dojrzeć swojej mamy.

Na początku się tym nie przejął. Przecież zaledwie chwilę temu stała z wózkiem nieopodal, więc na pewno gdzieś tam czeka. Pobiegł więc w stronę, gdzie, jak mu się zdawało, ostatnio ją widział.

Ale nie znalazł nikogo znajomego. Trzyletni Roy zaczął przemierzać sklep: jego długie aleje, wzdłuż półek, które wydawały się sięgać niemal sufitu, nie mających końca. Zabawki już dawno się skończyły, a Roy ciągle biegł, mijając kolorowe pudła i torebki, zawierające w sobie jakieś dziwne, nieznane mu przedmioty. Wokół byli ludzie, ale Roy nie rozpoznawał nikogo.

W końcu przestraszył się nie na żarty. To wtedy poczuł ucisk w gardle, a łzy popłynęły mu obficie po policzkach. Został sam! Biegł tak, płacząc, wśród supermarketowych półek, dopóki któryś z pracowników nie zatrzymał go:

-Co się stało? Czemu płaczesz? – zapytał go wtedy. Roy nie odpowiedział, tylko płakał dalej. – Gdzie są twoi rodzice, mały, co? – pytał go dalej pracownik sklepu.

-Nie wiem – powiedział Roy i chciał biec dalej, ale ten pan go zatrzymał.

-Jak się nazywasz? – zapytał.

-Roy – odpowiedział Roy i zaniósł się płaczem na dobre.

Obcy pan wziął go za rękę i zaprowadził do biurka na końcu sklepu. Tam zajęła się nim jakaś sympatyczna młoda kobieta, która dała mu chusteczkę, wytarła nos i obiecała, że znajdzie jego mamę. Potem wzięła wielki, czarny mikrofon (Roy wiedział, że to mikrofon, bo jego tata miał podobny przy swoim komputerze, tylko dużo mniejszy) i powiedziała do niego, że Roy czeka na swoją

mamę w punkcie obsługi klienta. Chwilę później jego mama już tam była, z wózkiem wypełnionym rzeczami do połowy i zmartwioną miną. Widać było, że jest zdenerwowana i Roy nawet trochę się przestraszył, ale ona tylko uściskała go i powiedziała, żeby trzymał się blisko niej i nigdy więcej sam nigdzie nie odchodził.

Od tamtego momentu jej słuchał.

Aż do teraz.

Roy czuł narastającą gulę w gardle, czuł strach – nie przed potworami z ohydnej mazi, w której tkwił, ale przed śmiercią. Tym razem nie było pomocnego personelu sklepowego, nie było punktu obsługi klienta, gdzie przez wielki czarny mikrofon mogliby ogłosić jego zaginięcie... A już na pewno nie było tu jego rodziców, szukających go w starej oczyszczalni ścieków.

Roy wyobraził sobie głos, płynący z megafonów nad podstarzałym kompleksem: „Rodzice Roya proszeni do punktu obsługi klienta. Syn wpadł do kotła z fekaliami. Rodzice proszeni...”

Znów prawie się roześmiał, ale tylko prawie. Zamknął oczy i przyłożył rozpalony policzek do rury. Nogi ugrzęzły mu w bagnie, jego but utonął gdzieś w głębinach, było mu zimno, ale wszystko to przyćmiewał strach, w zastraszającym tempie zmieniający się w panikę; panikę tak wielką, że Roy niemal czuł jej gorące fale zalewające jego ciało.

Trząsł się cały.

„Spokojnie” – usłyszał w głowie. Głos w białej koszuli i krawacie próbował się przebić przez czerwoną mgiełkę w jego głowie. – „Nie panikuj.”

Ale Roy nie miał siły go słuchać. Nie wiedział co robić. Czuł gorące łzy spływające mu po policzkach, nad którymi nie miał już żadnej kontroli. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Od czasu do czasu wydobywał mu się z ust cichy jęk, kiedy płacz nie wystarczał. Ręce miał zdrętwiałe z zimna i wysiłku; dreszcze przeszywały go od stóp do głów coraz częściej. Było mu niedobrze, ale nie miał już czym wymiotować.

Najgorsze jednak było pragnienie. Chciał wody. Jeszcze raz pomyślał o rozmowie z Laurą, o tym, jak wyciągała w jego stronę rękę z butelką czystej, mineralnej wody. Ile by dał, aby wrócić do tego momentu!

Suchość w ustach była nie do zniesienia, ale Roy nie mógł

zdobyć się na przepłukanie ich otaczającą go breją. Na samą myśl robiło mu się jeszcze gorzej. Zastanawiał się jednak czy będzie miał jakiś wybór. Jeśli będzie tu dłużej (jeśli przeżyje), być może będzie zmuszony będzie się napić... Jak długo jeszcze będzie musiał tu tkwić, aby otaczające go brudy wydały mu się odpowiednie do picia?

„Co robić?” – pomyślał. No właśnie, co mógłby zrobić? Oczami wyobraźni ponownie ujrzał rozpitego grubasa z piwem, na werandzie. Grubas popatrzył na niego i wrzucił ramionami. Roy uznał, że zaraz zwariuje.

W ciszy słyszał pękające bąble na powierzchni i swój oddech. Wsłuchał się w nią, ale zaraz tego pożałował, bo zewsząd otoczyły go nieznanne szmery, których przestraszył się nawet bardziej niż perspektywy najbliższych godzin.

Nagle gdzieś z prawej strony coś chlusnęło. Roy ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się od wrzasku, który uwiązał mu w podrażnionym gardle. Czuł niemal swój kwaśny oddech, mimo smrodu, który nie zelżał ani na chwilę. Przyłgnął do rury i słuchał przez dłuższą chwilę, ale chlusnięcie nie powtórzyło się. To jedno wystarczyło jednak, by go przerazić. Otworzył oczy, próbując przebić wzrokiem ciemność. Bez powodzenia. Szybko je więc zamknął (dużej różnicy nie zauważał) i po raz pierwszy od bardzo dawna zaczął się modlić.

Gorączkowo powtarzał słowa pacierza, starając się nie dopuszczać do siebie żadnych dźwięków. Nie udawało mu się. Przy słowach: „przyjdź Królestwo Twoje” Roy usłyszał kolejny chłopot – tym razem bliżej. „To tylko gaz. Uwalniający się gaz. To tylko...” Następne. Z przeciwnej strony.

-Ojciec nasz... – wyszeptał. Cisza. Otaczała go całkowita cisza – z wyjątkiem nieustannego dźwięku pękających bąbli gazu.

Roy przypomniał sobie, jak mając sześć lat bał się spać po ciemku. Czasami brał wtedy Biblię i chował ją pod poduszkę. Sam nie wiedział dlaczego.

Jego rodzice byli katolikami, ale niepraktykującymi. Nikt nie kazał chodzić mu do kościoła, nie kultywowano wielu chrześcijańskich tradycji. Nie wiedzieć czemu jednak Roy od zawsze miał pewien szacunek do Biblii. Nie wierzył właściwie, że w jakikolwiek sposób ochroni go ona przed Potworem z Szafy albo Freddie K. z „Koszmaru z ulicy Wiązów”, ale wolał mieć ją przy

sobie. Do dziś nie potrafił wytłumaczyć tego uczucia.

Teraz ten stary nawyk ucieczki w religię powrócił: odmawiał pacierz szybko i wciąż od nowa, nasłuchując z przerażeniem każdego dźwięku. Całkowicie stracił poczucie czasu. Równie dobrze mogło upłynąć pięć minut, jak długie godziny.

Chłopot nie powtórzył się, więc Roy prawie zaczął wyzywać się od tchórzów. Szybko doszedł do wniosku, że wszystko o sobie wymyślił, a jego umysł płata mu figle. Och, jak bardzo chciał w to wierzyć! Przerażenie na chwilę pozwoliło mu zapomnieć o panice; Roy czekał, nasłuchując, jednocześnie wmawiając sobie, że to tylko jego wybujała wyobraźnia.

Nagle coś zmaćciło breję – bardziej niż do tej pory, tak, że poczuł na plecach napór wody. Zaciśnął powieki przygotowany na kolejny cios, ale nic się nie stało. Serce miał niemal w gardle.

„Myśl – powiedział mu Rozsądek – Przede wszystkim myśl”. Za bardzo się bał, aby myśleć, a jednak głos go do tego zmuszał. „Pomyśl, co to mogło być.” Tego najbardziej nie chciał robić. A jednak zaczął się zastanawiać.

„Przecież słuchałeś”

„Słuchałem?”

„Ten dźwięk, Roy. Dźwięk poprzedzający te chłupnięcia”

„Jaki...?”

Nagle Roy zrozumiał. W powierzchnię mazi coś uderzyło, coś zrzuconego z góry. Roy słyszał świst przecinający powietrze, ale był zbyt przestraszony, aby rozpoznać ten dźwięk. Coś zleciało z góry, najprawdopodobniej kamienie. („Boże, spraw, żeby to były kamienie”). Ten ostatni musiał być naprawdę wielki i trafił bardzo blisko niego.

„Ten świrus rzuca we mnie kamieniami” – przemknęło mu przez głowę – „Chce mnie zabić... O Boże...”

Kolejne chłupnięcie. Roy spojrział w górę, ale zobaczył tylko skrawek granatowego nieba i gwiazdy.

„Zaraz we mnie trafi...” Ta myśl zadziałała na Roya w taki sam sposób, jak walenie w pręty klatki uwięzionego w niej tygrysa. Nie dość, że tkwi w tej cholernej brei, gdzie najprawdopodobniej umrze, utopiony w gównie. Nie, nie dość na tym. Do tego jakiś cholerny psychopata rzuca w niego kamieniami, próbując go zabić. Roy czuł, jak wściekłość zastępuje strach. Zmusił swoje obolałe ciało do działania. Przede wszystkim podciągnął się ostrożnie do

góry – ramiona natychmiast zawyły z bólu, ale nie poddał się. Delikatnie poruszał nogami – czuł, jak gubi całkiem skarpetę, drugi but jakoś się trzymał. Dwa nieprzyjemne wystrzały korków od szampana – znowu udało mu się oswobodzić nogi. Stopami dotykał mulistego osadu („No, chłopcze – powiedział mu oblesniak z werandy, naśladując wariata, którego głowę Roy zobaczył nad kotłem z gównem – Jak myślisz, ile metrów tego paskudztwa jest po tobie, hm?”), odbijając się od niego na kilka centymetrów w taki sposób, by – nie zapadając się – choć na chwilę mieć jakieś oparcie dla nóg. Zmuszając zdrętwiałe ramiona do kolejnego wysiłku, przesunął się wokół rury tak, że znalazł się poza zasięgiem kamiennych pocisków.

Nie widział też otworu balii – przed sobą wyczuwał jedynie rurę, otaczała go nieprzenikniona ciemność. Wysiłek jednak zrobił swoje – czuł, że jeszcze chwila, a ręce najprawdopodobniej zbuntują się ostatecznie i całkiem odpadną...

„Ha, ha... Ciekawe jak będę wyglądał bez rąk?” – pomyślał i tym razem poczuł grymas wypełzający mu na twarz. Nie miał on wiele wspólnego z uśmiechem, ale nie było nikogo, kto mógłby go widzieć, więc nie miało to żadnego znaczenia.

Nie chciał i nie mógł już położyć się na wznak, bo kupki brunatnego osadu przerodziły się najwidoczniej w tym miejscu w zwartą skorupę – czuł to, kiedy się w nią wpakował i wcale mu się to nie spodobało, bo zaśmierdziało jeszcze gorzej, a bąble gazu pękały teraz tuż przy jego uchu.

Wiedział, że jeszcze chwila, jeszcze kilka sekund, a zapadnie się w bagno. Wyciągnął nogi przed siebie i objął nimi grubą rurę – udało się. Mógł teraz opuścić ramiona i pozwolić sobie nawet na krótkie rozmasowanie bolącego karku. Teraz czekał na to, kiedy zaczną go boleć uda, którymi ścisnął rurę – chyba trochę za mocno. Poluzował uchwyt, jednak nie za bardzo, i oparł głowę o rurę.

Wysiłek jakby trochę go otrzeźwił. Wróciła mu umiejętność jasnego myślenia, jakby wyrwał się z transu. Podsumował swoją sytuację: on, najlepszy pływak w swojej grupie, tkwi tutaj przyklejony do starej Rury Od Gówna jak robak, czekając, aż opadnie z sił i utopi się w kupach, albo jakiś świr zabije go zrzuconym z góry kłocem („Kłocem mówisz?... Ha, ha, ale śmieszne, niepotrzebne ci jest więcej kłoców niż te, które masz wokół siebie, chłopcze...”).

Jak na zawołanie usłyszał kilka kolejnych chlupnięć, jedno mocniejsze od drugiego, jakby Pan Szalony ciskał kamienie czy cokolwiek innego to było z coraz większą pasją. Jeden z nich uderzył z głuchym łoskotem w rurę, aż Roy poczuł pod palcami, jak się zatrzęsła. „Cholera – pomyślał – Cholera, cholera, cholera, jasna cholera.” Miał ochotę krzyknąć: „Jeśli chcesz mnie dostać, chodź tu, na dół, skurwielu jeden, wtedy zobaczymy!” czy coś w tym rodzaju, ale zamiast tego siedział cicho (no tak, gdyby nawet zdecydował się krzyczeć, i tak by nie mógł, no nie?).

Po serii mocnych chluśnień wszystko się uspokoiło. Roy czekał całą wieczność, ale nic się nie działo. Powtarzał sobie, że uda wcale go nie bolą, ani trochę, że tylko tak się wydaje, że to złudzenie. W końcu rozluźnił uchwyt nóg najbardziej jak tylko mógł i znów oparł się na rękach.

I co teraz? Czy jest sens jeszcze się w ogóle trzymać? Nikt nie wie, że tu jest. Rodzice pewnie nawet jeszcze nie wrócili. Może rano odkryją, że go nie ma, zaczną wtedy dzwonić po znajomych, potem po szpitalach. Czy przyjdzie im w ogóle do głowy, żeby zacząć go szukać? A jeśli nawet tak, to jakim cudem wpadną na to, że on siedzi podtopiony i podtruty smrodem na łasce i niełasce jakiegoś szaleńca...? Przecież nikt nie wie, że tu przyszedł... Roy znieruchomiał.

„Myśl...”

Nieprawda. Ktoś wiedział. Zanim wyszedł, wpadł do niego kumpel po płyty i spytał, gdzie Roy idzie. Powiedział mu, że jest zmęczony i ma zamiar się przejść, być może nad staw, w okolice starej oczyszczalni ścieków... Niedługo ma być zlikwidowana, więc może zobaczy jak tam jest i w ogóle... Oczywiście! Zapomniał o tej rozmowie, zresztą trwała najwyżej minutę, więc nie było o czym pamiętać, ale jeśli odkryją, że go nie ma, a ten stary przykrości sobie to, o czym rozmawiali, jest szansa, że go znajdą... Że go znajdą i wyciągną...

Nagle ciszę przerwał wysoki, przeraźliwy krzyk odbijający się echem od ścian balii, wrzynający się w uszy jak tysiąc małych szpilek. Ledwie wrzask przebrzmiał, Roy usłyszał nieprzyjemny chichot i głos z góry:

-Jak się bawisz, chłopcze? Mam nadzieję, że cię nie obudziłem...

Roy milczał, zaciskając pięści.

-Hej, robaku, czemu się nie odzywasz? Juuhuu... Żyjesz jeszcze? No

nic, zobaczymy rano. Do jutra, chłopcze.

Znowu usłyszał gwizdanie, skoczną melodię, cichnącą w oddali.

Pyk. Pyk. Pyk.

-Zaraz zwariuję – wyszeptał Roy zachrypniętym głosem i przestraszył się zarówno brzmienia tych słów, jak i ich treści, aż skulił się w sobie.

„Uspokój się, wyjdiesz z tego cało” – niespodziewanie powiedział mu głos Laury. Bardzo chciał mu wierzyć.

Trząśł się z zimna. Włosy już mu wyschły, ale mokre, śmierdzące ubranie lepiło się do ciała, a woda, w której zanurzony był do połowy klatki piersiowej, śmierdziała okropnie. Gardło miał zaschnięte na wiór, prawie nie mógł przełykać. Oddałby co najmniej rok swojego życia za kilka łyków czystej, świeżej wody. O jedzeniu wolał nie myśleć, przynajmniej na razie. Ramiona i nogi powoli zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa i musiał bardzo uważać, by nie rozluźniać uchwytu. Czuł łamanie w kościach, zawroty głowy, nasilające się z każdą chwilą, w dodatku wydawało mu się, że goła stopa zaczynała go piec od chemikaliów zawartych w cieczy, w której spędziła już cholernie, o, tak, niesamowicie cholernie dużo czasu...

Roy zamknął oczy i pogrążył się w bólu. Kawałek po kawałku, milimetr po milimetrze zsuwał się coraz niżej. Bardzo chciało mu się spać. Kilka razy otwierał oczy i wspinał się parę centymetrów wyżej, ale w końcu poddał się i resztką świadomości już tylko rejestrował powolne opadanie. Właściwie robiło mu się obojętnie. Ciemność napierała na niego, a on napierał na starą, grubą rurę, której musiał się trzymać, żeby się nie zapaść w kilka lub kilkanaście metrów wsysających ścieków. Myślał jeszcze trochę o Laurze, o swoich rodzicach, o zarysie głowy widocznej na tle ciemnego nieba, płyty CD mieszały mu się z kamieniami, majaczył coś o wielkich, ogromnych kotłach pełnych ohydnej mazi, w których bezgłowe sylwetki mieszały długimi drągami gotującą się ciecz. W końcu stracił przytomność i puścił rurę.

Wpadł cały, po czubek głowy do zimnej, paskudnej mieszaniny ścieków. Kilka sekund później zrozumiał co się dzieje i zaczął rozpaczliwie machać rękami. Dotknął już plecami tego, co kryło się metr pod warstwą rzadszej breji i dopiero wtedy oprzytomniał. Zaczął powoli odpychać się rękami w górę. Bolało,

ale nie miał wyjścia. Do nosa i uszu wpychała mu się przebrzydła ciecz, uniemożliwiająca oddychanie. Roy zacisnął usta i oczy najbardziej jak mógł i spróbował starej sztuczki z rozluźnianiem mięśni. Nie udało się – nie potrafił wypłynąć na wierzch. Czuł, jak zaczyna mu brakować oddechu, płuca zaczynały palić.

„Spokojnie” – powiedział mu głos Rozsądku i Roy posłuchał. Odepchnął jakoś panikę, by spotkać się z nią później, i zmusił swoje ciało do posłuszeństwa. Ignorując ogień w płucach i obrzydzenie, delikatnie odpychał się w górę, włączając w to nogi, i rozluźnił brzuch oraz pośladki.

Pomogło. Jego twarz znalazła się nad wodą i Roy zaczął łąpczywie łowić ohydne powietrze. Czuł także, że na twarzy ma osad z brudów pływających na powierzchni, ale chwilowo to także zlekceważył. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą okrągły kawałek nieba, które niedługo miało się rozjaśnić. To jednak się nie liczyło, ważna była rura, której do tej pory się trzymał.

Z ulgą odkrył, że prawie dotyka jej nogami. Jeszcze raz, najostrożniej i najmocniej jak umiał odepchnął się i udało mu się jakoś przesunąć w jej kierunku. Objął ją nogami, które natychmiast zaczęły drętwieć. Nie miał siły, by się podnieść i gdyby nie omdlewający smród, pewnie by tak leżał, jednak koszmarna woń nie dawała mu spokoju. Za trzecim razem udało mu się podnieść i na powrót przytulić do rury. Opłukał trochę rękaw swojej granatowej niegdyś bluzy i przetarł twarz, ściągając z niej jakieś brązowe resztki, nad którymi nie chciał się zastanawiać ani przez sekundę.

Wnętrze kotła powoli zaczynało nabierać coraz wyraźniejszych zarysów (choć może tylko mu się wydawało, bo tak bardzo chciał, żeby było widno...), ale niebo jeszcze było ciemne. Mogła być piąta nad ranem, może trochę później. Roy z trudem obliczył, że w takim razie tkwi tu już około trzynastu godzin. Trzydzieści godzin! Przez chwilę zastanawiał się, czy naprawdę jeszcze żyje, a jeśli tak, to jak to się mogło stać, ale po chwili doszedł do wniosku, że zdarzył się cud i jest żywy. Niemożliwe, by po śmierci czuło się taki ból.

-Cześć, chłopcze, widzę, że jednak żyjesz – głos dochodzący z góry potwierdził jego przypuszczenia – Jak się miewasz?

-Świetnie. – mruknął z wysiłkiem Roy, mocniej obejmując rurę rękami i zaciskając zęby.

-Widzę. Cieszę się, że jednak żyjesz. Już myślałem, że sobie nie

poradzisz.

-A jednak... – odparł Roy zdławionym głosem i spojrział w górę. W otworze znowu tkwiła głowa. Roy nie mógł zobaczyć rysów tego człowieka, było jeszcze za ciemno.

-To dobrze, to dobrze. Jak widać, mamy piękny poranek, hm?

-Piękny. – zgodził się Roy. Nie wiedział, czemu jeszcze odpowiada, ale to robił. Wiedział, że szaleniec zaraz zacznie rzucać w niego kamieniami albo wyjmie jakiś przyjemny karabin z celownikiem i unicestwi wszystkie jego wysiłki, by jakoś utrzymać się przy życiu. Powoli, bardzo powoli, zaczął przesuwając się za rurę. Zanim ten świr zorientuje się co robi, pokona przynajmniej jedną trzecią drogi.

-Nie trudź się, chłopcze. Przecież obiecałem, że jeśli dotrwasz do rana, wezwę pomoc. Ranek tuż za pasem, no, właściwie pójde ci na rękę i uznam, że już nadszedł. Mimo, że nazwałeś mnie tak brzydko wczorajszego wieczoru. Musisz tylko mnie przeprosić. Co ty na to?

Roy milczał.

-No, dalej, nie będę długo czekał. Powiedz tylko, że ci przykro, a ja już, przedziutko pobiegnę po straż pożarną, pogotowie i całą resztę, co sobie zażyczysz.

Roy popatrzył w górę. Nie widział żadnych rysów twarzy, ale w głosie tego człowieka wyczuwał kpinę.

-Liczę do trzech, chłopcze. Jeden... Wiesz, zawsze denerwowało mnie jeśli ktoś używał słówka „raz” zamiast „jeden”. „Jeden” ładniej brzmi, prawda?... Dwa... Trzy! No, dalej. Czekam.

-Pieprz się. – powiedział Roy na tyle wyraźnie, na ile mógł. – Pieprz się raz, dwa, trzy czy tysiąc razy. Po prostu się pierdol, świrze.

-Oj, nieładnie. Straciłeś swoją szansę, chłopcze.

Głowa na chwilę zniknęła z pola widzenia Roya, ale tylko po to, by za kilka sekund pojawić się znowu w towarzystwie dłoni dzierżącej olbrzymi kamień, który, ciśnięty w dół, przeleciał zaledwie kilka centymetrów od niego.

-Pieprz się! – krzyknął Roy dławiąc się i schował się za rurę, zapadając się przy tym w maź aż do ud.

-Oj, naprawdę nieładnie, chło... – szaleniec nie dokończył, ale Roy ledwo to zauważył. Nie miał już sił, by się trzymać i masa nieczystości pod spodem zaczęła go wciągać do środka. Dopóki był w nią zanurzony do kolan, zachowywał jeszcze pewną swobodę ruchów, jednak teraz nie mógł już nic zrobić. Starł się walczyć o pozostanie na powierzchni, ale nie był w stanie. Z przerażeniem

czuł, jak powoli wciąga go do środka – teraz tkwił już w wodzie prawie po szyję.

„To koniec.” – pomyślał. „To nareszcie koniec, zaraz mnie wcią...” – urwał w połowie i zaczął nasłuchiwać. Wyraźnie słyszał głosy, kilka głosów. „Szukają mnie?” – błysnęła mu iskierka nadziei. „Boże, spraw, żeby mnie szukali, Boże, spraw...”

-Tutaj! – wyszeptał. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

„Muszę im powiedzieć” – pomyślał rozpaczliwie.

-Tutaj, tutaj, tutaj! – powtarzał bezgłośnie. Odchrząknął. „Boże, proszę...”

-Tutaj. – powiedział niegłośnie. – Jestem tutaj.

Nadal za cicho. Przecież mógł odezwać się do tego wariata, więc dłaczego...

-Tutaj! – tym razem było trochę głośniejsze. Głosy na zewnątrz przycichły. – Jestem tutaj! Pomocy!

„Jeszcze raz, przecież możesz” – pan Rozsądek zacisnął pięści przy swoim drewnianym biurku, starając się go dopingować.

-Pomocy!!! – powtórzył – Pomocy! – Roy zapadł się już po brodę. – Jestem na dole!

W otworze na górze pojawiły się trzy nowe twarze.

-Mój Boże... – powiedział pierwszy głos.

-Roy! – zawołał drugi. Jak przez mgłę Roy rozpoznał głos swojego ojca.

-Tato?... – wychrypiał niepewnie. Czuł, że przydział mówienia na dzisiaj został wyczerpany.

-Roy, rzucimy ci linę, czy jesteś w stanie się nią przewiązać? Możesz?... Roy, odezwij się!

-Tak – powiedział Roy bardzo cicho. Myślał, że nie dosłyszeli, ale jednak dosłyszeli, bo lina spadła tuż koło niego. Wyciągnął po nią rękę i poczuł, jak zapada się coraz głębiej.

-Roy! Trzymaj się! Przewiąż ją sobie pod pachami, Roy!

Roy chwycił koniec liny, trzymając twarz najwyżej jak mógł i starając się nie wdychać oparów smrodu, które tuż przy powierzchni wody – jak już się o tym przekonał – były najsilniejsze. Zdrętwiałymi rękami owinął się liną. Zgrabiałe palce odmawiały posłuszeństwa, Roy wpadał w panikę. Zacisnął usta, do których zaczęła wlewać mu się woda i próbował związać linę. Jedna próba, druga, trzecia, czwarta... W końcu udało mu się zawiązać węzeł, ale nie był pewny, czy zrobił to dobrze, czy wytrzyma.

-Roy, pospiesz się! Już?

Odruchowo kiwnął głową i natychmiast tego pożałował, bo paskudna ciecz wlała mu się do nosa. Roy poczuł, jak powoli wynurza się w górę. Maż nie chciała go puścić, ale mimo to przesuwiał się coraz wyżej. Bolały go ręce, nogi, w ogóle wszystko, lina wżynała mu się w pachy, ale się wynurzał. W końcu z ohydny, plaskającym dźwiękiem wyrwał się breji i teraz już coraz szybciej wciągali go na górę. Roy ujął linę w dłoń, ale nie trzymał jej – ramiona za bardzo go bolały. Był już w połowie drogi na powierzchnię, kiedy węzeł puścił...

Roy w ostatniej chwili chwycił sznur i syknął z bólu. Ramiona drżały mu, niemal czuł, jak nadwerżone ścięgna pękają jedno po drugim, ale nie puszczał.

-Szybciej – wyszeptał z trudem. – Nie wytrzymam. Puszczę...

Ale nawet wtedy, gdy już wyciągnęli go na powierzchnię, Roy nie puścił liny. Nie mógł. Dopiero ktoś z obecnych (nie wiedział kto, bo wzrok przysłaniała mu krwawa mgiełka) siłą rozgiął mu ręce i rozmasował na tyle, że mógł trochę rozluźnić mięśnie. Słyszał niewyraźnie głosy, które mówiły coś niewyraźnie, potem poczuł, że ktoś podnosi go z ziemi i kładzie na czymś miękkim. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył zanim stracił przytomność, był błysk, zwiastujący rychły wschód słońca.

„Przeżyłeś” – powiedział mu głos w głowie.

Opuszczone miasto, odgrodzone od świata grubym murem. Dwie fale okrutnych morderstw i samobójstw. Lata śledztwa nie przyniosły żadnych rezultatów. Aż do teraz. Dziennikarz William Lane odwiedza Silckenville, aby poznać przerażającą prawdę...

"Silckenville" i "Wpadka" to dwa opowiadania idealne na Halloween.

